POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | ***Dnia 27-go lutego 1943r.*** | **Rok V. Nr. 8**

KOBIETA W WALCE

Od najdawniejszych czasów, skrytych głęboko w historii świata, od czasów, gdy tylko myśl człowieka zdała sobie sprawę z własnego istnienia, a jeszcze napewno i przed tym, gdy ludzkość była zdana wyłącznie na działanie instynktu samozachowawczego — walka była przejawem życia.

Bez walki zdobywczej, walki ujarzmiającej wrogie siły natury a prowadzonej z nieustannym uporem instynktu, wspieranego później świadomą myślą, nie stanąłby świat na dzisiejszym poziomie, wspinając się mozolnie po stopniach wieków. Ale też i nie stałby na nim, gdyby owa uporczywa walka ludzi wznoszących się coraz wyżej nie była wspierana innym jej rodzajem: walką o zachowanie zdobytych osiągnięć.

Nie dosyć jest zdobyć — trzeba jeszcze umieć zachować i wyzyskać zdobyte. Stara to prawda, tak stara jak dzieje i tak znana, że nie wymaga dowodów.

Ale jest jej jedno ciekawe oblicze, nad którym warto się zastanowić. O ile walka zdobywcza była na przestrzeni historii prawie wyłącznie dziełem mężczyzn i tylko nieliczne kobiety brały w niej udział, o tyle jeśli idzie o walkę zachowawczą, obronną — udział kobiety jest w niej znaczny. Gdyby uogólnić w najszerszych ramach to zagadnienie, to kobieta dąży raczej do utrzymania, zachowania, otoczenia opieką tego, co ma i co jest najbliższe, a więc domu i rodziny przede wszystkim — i rozwija te uczucia na większą skalę społeczną, wznosząc się na wielkie nieraz wyżyny osobistego poświęcenia; dopiero w obronie tych swoich świętości potrafi walczyć zaciekle i z najwyższym uporem.

Rzeczą mężczyzny jest zdobyć, sprawą kobiety — zachować. Mężczyzna jest niejako dostarczycielem tworzywa i surowca — kobieta zdobyte przetwarza, urabia i w miarę potrzeby broni, a jeśli potrzeba obrony jest wielka i przerasta siły, razem z broniącym mężczyzną oddaje życie.

Przeglądając historię karta po karcie można znaleźć setki dowodów na potwierdzenie tej prawdy. Joanny d'Arc czy Emilie Plater nie stanowią tu wyjątku; przeciwnie, potwierdzają, że skarb narodu — niepodległa ojczyzna — jest dla każdej tego narodu części, a więc i dla kobiet, najistotniejszym warunkiem życia. Walczyć dla odebrania ukochanej wspólnej własności, dla zachowania swoich praw dla przyszłych pokoleń, jednym słowem walczyć dla swoich dzieci w najszerszym pojęciu — oto co kobieta może i potrafi na równi z mężczyzną. Czy potrzeba przykładów aż nadto dobrze znanych?

Ta rola obronna kobiety przybierała najrozmaitsze oblicza i nabierała różnego wyrazu w zależności od warunków i potrzeb chwili. Najwyższym, lecz nie najważniejszym jej wyrazem była walka z bronią w ręku, wraz z mężczyzną, w obronie zagrożonych miast czy granic. Równie ważna, choć ukryta i nie tak efektowna, drobiazgowa i ciężka — to praca nad duszą pokoleń, nad utrzymaniem narodowego serca i ducha, którą tak skutecznie prowadziły nasze babki i matki w okresie niewoli.

Inną bronią i innymi metodami posługiwały się w zmienionej sytuacji wielkie i skromne, znane i nieznane społeczniczki minionego okresu niepodległości. A przecież i tu — w żmudnej pracy kobiet-pedagogów, kobiet-lekarzy, sędziów czy inżynierów chodziło zawsze o ten sam cel, dla którego warto poświęcić wszystkie siły: o sprawiedliwość i wychowanie społeczne, o zdrowie i warunki bytu dzieci i młodzieży, najbliższej zawsze kobiecemu sercu, a także o równomierny podział praw i dóbr społecznych.

Weźmy do ręki broszurę Zofii Zaleskiej p.t. "Wieczna warta." Czytamy tam z niesłabnącym zainteresowaniem o wysiłku polskich organizacji i związków kobiecych, widzimy szereg działaczek pracujących samodzielnie, które całą swą wiedzę i serce kładły w dobro ogółu. Postacie takie, jak ś.p. dr. med. Zabawska-Domosławska, która "była lekarzem i żołnierzem. Leczyła z zamiłowania, z powołania, nie mogąc znieść cudzego bólu, krzywdy, nieszczęścia. Walczyła przez całe swoje życie, nieustępliwie, wytrwale, bez kompromisów." I dalej wymieniane tylko z imienia lub posiadanych stopni naukowych inne lekarki, nauczycielki, prawniczki. Przewijają się na kartach tej książeczki ich dziesiątki, czynne, pełne wiedzy i inicjatywy. Sama Zabawska zginęła pod bombami ze swymi rannymi.

A przecież to część tylko — takich było dużo, dużo więcej. Ich praca samodzielna i zespołowa — to była też walka. Walka zachowawczo-ochronna, a zarazem twórcza — o stan posiadania kobiety Polki i obywatelki.

Nic się nie zawaliło i nic nie przepadło z tej postawy kobiety walczącej w naszej chwilowej klęsce. Krew kobiet, która gorącymi strugami oblała bruki Warszawy, to krew z najgłębszego dna serca, oddana w OBRONIE ukochanego domu. Historyczne już dziś butelki z zapaloną benzyną były rzucane na niemieckie, najezdnicze czołgi kobiecym ramieniem, ruchem, który pragnął się dopełnić w ruchu — utulenia najdroższej główki dziecięcej. Osłonić je, nie dać, za cenę życia nie dać tych ciał i duszyczek swego narodu! Ich wolności i prawa stanowienia o sobie, ich polskiego słowa i piosenki, ich ziemi i tradycji. Ich i swojej Ojczyzny.

Każdy ruch kobiety w tych strasznych chwilach, na ziemi od granicy do granicy objętej śmiertelną grozą, był ruchem ratunku i obronnej walki — czy był chwytem za karabin lub za wiadro do gaszenia pożaru, czy gdy nakładał opatrunek na ranę, czy nawet gdy podawał kubek kawy głodnemu żołnierzowi.

Bronić — poprzez rozpacz i beznadziejność. Bronić do końca, Walczyć!

Tysiące nieznanych bohaterek, tysiące nieznanych nazwisk.

Bronisława B.W. wspomniana w "Wiecznej warcie" to symbol tych bezimiennych i niezliczonych o których się może nawet nie dowiemy. Myślę, że w odzyskanej Ojczyźnie, gdy odbudujemy i zaleczymy wszystko, powinien przyjść czas, gdy obok grobu Nieznanego Żołnierza stanie pomnik Nieznanej Kobiety Walczącej.

Trwały straszne tygodnie. Inne cele stanęły przed ludnością Polski po zajęciu jej ziem. Trzeba było ratować cenne życia mężczyzn, uciekających za granicę — ręce i głowy, które będą walczyły dalej za sprawę — ukrywać, przeprowadzać. Przenosić ważne listy i rozkazy. Czuwać.

Stanęły do tej pracy znów, wśród innych, kobiety i dziewczęta, uczennice, P.W.K., harcerki. Niejedna taka "Baśka K. z drużyny wartowniczej" padła na granicy rumuńskiej czy węgierskiej.*

A potem trzeba było ponosić odpowiedzialność wobec wrogów za uczestnictwo w upartej walce podziemnej. Mimo bicia do utraty przytomności i tortur psychicznych po więzieniach i na śledztwach — nie zdradzić, nie przyznać się do kontaktów konspiracyjnych, zachować narodową godność.

Bezsilne ręce, zaciśnięte w pięści, zwarte zęby i błysk nienawiści w oczach — to była też walka. Wygrało ją wiele z nich.

I jednym pasmem walki o życie i wszystko co stanowi jego istotę dla człowieka i narodu były okresy zesłań na Północy, Wschodzie i dobrowolne, a w największym trudzie podjęte pielgrzymki kobiet z cofającą się Armią na zachodzie Europy.

"Żadna z tych kobiet polskich — pisze dalej p. Zaleska — które tak po prostu podejmowały prace konspiracyjne, jak naturalnie pracowały w czasie wojny, żadna z nich nie zastanawiała się ani chwili nad drogą, jaką iść trzeba ku wyzwoleniu Ojczyzny."

Dobrze dziś wiemy o tym, że najtwardsza, najbardziej szaleńcza walka w Polsce trwa. Aż za boleśnie wiemy, jaki jest jej męczeński charakter. Nie każdy na emigracji miał w ręku raporty z kraju, które zdają się ociekać krwią żywą i wołają jednym jękiem o pomstę, ale wystarczą tylko wiadomości z prasy codziennej, abyśmy czuli sercem najtragiczniejsze łzy, które tam płyną i podziemną lawę rozżarzonego czynu.

Całe społeczeństwo zmartwiałe i zastygłe na powierzchni — goreje wewnątrz. I czeka. Czeka z fanatyczną Chrystusową wiarą w zwycięstwo sprawiedliwej sprawy; czeka w zaciętej bierności, gdy komu już siły zabrakło i w czynie bezgranicznego bohaterstwa, gdy kto jeszcze siłę zachował. Całe społeczeństwo, a więc i kobiety.

I jeśli po tych krwawych latach dowiemy się o naszych nowych Emiliach Plater, aby imiona ich ze czcią największą wyryć na pomnikach, to pamiętajmy, że stały za nimi, jak tło z najkrwawszych łez utkane, bezimienne, nieznane tłumy serc kobiecych walczących — o każdy dzień i każdą godzinę życia swoich najbliższych — o życie całego Narodu.

Myślmy dziś o tym. Zwłaszcza my — kobiety na emigracji.

HALINA TERLECKA

*Patrz "Wieczna warta" Z. Zaleskiej.

PRZYSZYWAMY POLAND'Y DO BATTLEDRESS'ÓW

Mój znoszony, niebieski mundur PCK—idzie na emeryturę. Siądłam więc dziś przy kominku by przyszyć "Poland'y" do "battledressu." Snuje się czerwona nitka, snują się wspomnienia.

"Poland" . . . Polska . . . To było w sierpniu 1939 roku. Stałam w tłumie warszawskich kobiet, które zgłosiły się do służby wojskowej. Nie umiałam pracować. Nie miałam "fachu," ale miałam nadzieję, że mogę być użyta w szpitalu, w fabryce lub jako szoferka.

Tłum kobiet rósł. Przede mną stały: dziewczyna od krawcowej, dentystka i pani w kapeluszu od "Cecylii," co stwierdziłam nieomylnym okiem. Dokoła inne kobiety: rozprawiały głośno a zapalczywie, że wojna musi być, że podobno na granicy Niemcy palą polskie wsie i miasteczka, że my, kobiety obowiązane jesteśmy stanąć ramię w ramię z żołnierzem, że nasza polska cierpliwość została wyczerpana, i że w ogóle już dość.

Trochę mnie bawiło, trochę dziwiło to "ramię w ramię," ale czułam podobnie: że już dość. W kilka dni później, miałam się przekonać, że dla polskich kobiet to "ramię w ramię" nie było pustym dźwiękiem.

Następnego dnia w cichej uliczce, prowadzącej od Placu Trzech Krzyży poznałam panią w kapeluszu od "Cecylii." Wyciągnęła do mnie rękę:

—"Jestem Maria Modzelewska— powiedziała—będziemy koleżankami po kierownicy. Nareszcie jakiś porządek i organizacja."

W komendzie PWK otrzymałyśmy kluczyki od samochodów, tymczasowe legitymacje i polecenie dowożenia żywności na dworce. Tak weszłyśmy wszystkie w "oko cyklonu." Na torach kolejowych pod Warszawą stały długie pociągi uchodźców z Gdyni, Gdańska i pogranicznych wiosek, spalonych przez Niemców. Było wielu rannych. Wojna—ciągle jeszcze nie była rozpoczęta.

Pierwsze bomby spadły na Warszawę w parę dni później. Tempo pracy wzrosło. Pracowałyśmy nocami. W PWK zaciąg kandydatek trwał dalej. Grupy zgłaszających się segregowano i kierowano odpowiednio—do szpitali, punktów żywnościowych, opatrunkowych i t.p.

Trudno na tym miejscu opowiedzieć o poświęceniu i odwadze tych kobiet. Nie potrafię opisać atramentem tego co zostało napisane krwią. Przed oczami przesuwają się sylwetki tych cichych bohaterek, nikomu nieznanych z nazwiska. Weszły do mego życia jakimś słowem, spojrzeniem, czynem tak zdawałoby się niezmiernie prostym—i żyją w nim, choć przez te lata, tysiące ludzi minęło niepostrzeżenie. Widzę je wszystkie wyraźnie.

Stara szewcowa czołga się podczas nalotu przez plażę warszawską, by dotrzeć z prowiantami do żołnierzy obsługujących baterię koło mostu Poniatowskiego.

Na dworcu ginie śliczna pani "na posterunku", i natychmiast na jej miejsce zgłasza się kilka innych.

Uczennice gaszą pożary, dziewczyna w mundurze PWK ranna doczołgała się z rozkazem do wysuniętej placówki.

Kobieta-doktór operuje podczas nalotów, słabe ręce dźwigają belki zawalonych domów, wydobywając przysypanych rannych, gęstnieją szeregi kobiecych sylwetek, mnożą się narastają, jest ich już dziesiątki, setki, tysiące, setki tysięcy . . . Polska . . . "Poland" . . .

Zerwała się czerwona nitka . . .

* * *

Minął wrzesień. Za tamtymi ludźmi i sprawami zatrzasnęły się jakieś ciężkie drzwi. Zostaliśmy nazewnątrz.

Z poza tych drzwi, dochodziły nas głosy, że Polki w myśl tej "zabawnej" zasady: ramię w ramię — zaczęły się skupiać, organizować, choć tym organizacjom w ogromnej większości wypadków na imię było: śmierć.

We Francji — gromadka kobiet podjęła pracę, która miała pozwolić Polkom na emigracji na dotrzymanie kroku umundurowanym ochotniczkom angielskim, amerykańskim i innym. Miały uchwycić i docenić historyczny moment, gdy w wojnie przeciwko złu narody sprzymierzone mobilizowały całość sił swoich społeczeństw, włącznie z powołaniem do pracy wojskowej — kobiet.

Tej właśnie konsekwentnej pracy w ciągu tych lat, zawdzięczamy, że i na tym polu nie zostaliśmy w tyle za innymi narodami. Niebieskie mundury PCK i zielone YMCA i Czołówek zapełniły powoli wszystkie dostępne placówki: szpitale, przychodnie, świetlice, kantyny, ambulanse i t.p.

Stały się pożyteczne, potrzebne, niezbędne.

* * *

W Wielkiej Brytanii w grudniu 1942 roku ukazało się rozporządzenie, mocą którego została utworzona Pomocnicza Wojskowa Służba Kobiet. Ale obok litery prawa — Minister Obrony Narodowej w swym apelu do kobiet polskich na emigracji — powiedział:

. . . "W tym wielkim wysiłku żądamy waszej pomocy. Liczymy na nią . . . nadeszła chwila, kiedy potrzebujemy tysięcy waszych rąk . . ."

Po raz pierwszy w historii polskiej Minister Obrony Narodowej zaapelował do Polek. Jesteśmy potrzebne. Zawołano nas, byśmy spełniły nasz obowiązek, byśmy choć częściowo wyrównały nasz dług wobec Kraju.

Takiego apelu nie wolno pozostawić bez odpowiedzi. Po takim apelu nie ma już miejsca na słowa. Taki apel — to więcej niż rozkaz, niż obowiązek.

* * *

Gra i tak nie jest równa. Podczas gdy stawką tamtych w Polsce jest życie, a codziennym chlebem jest cierpienie, głód, więzienie, śmierć — my stawiamy na kartę tylko naszą pracę, w wygodnych warunkach, bezpieczne, umundurowane, WOLNE.

Gra jest tak nierówna, że gdy się o tym pomyśli — wstyd pali jak ogień i praca jest już nie tylko obowiązkiem, ale i potrzebą, i jakąś . . . PRZYZWOITOŚCIĄ.

* * *

Śladem mych licznych koleżanek, przyszywam orzełka do mej nowej czapki mocnymi nitkami khaki.

Przepełnia mnie duma i radość.

JANINA WOYCIECHOWSKA

Szkic sytuacyjny

PRZEPRAWY W TUNISIE

Wojska niemieckie w Tunisie — niewiadomo pod czyim dowództwem, albowiem Rommel ma podobno przebywać na froncie rosyjskim — przeszły do uderzenia i uzyskały wstępne sukcesy. Siły amerykańskie, w które uderzyły czołgi niemieckie, ustąpiły pod naciskiem wroga. Jak donoszą pisma angielskie, bombowce nurkowe wyrządziły szkody wśród czołgów amerykańskich. Skoro nurkowce miały pole do popisu — wywodzi sprawozdawca lotniczy "*Sunday Times*," Peter Masefield — to znaczy to, iż Amerykanie nie posiadają odpowiedniej liczby myśliwców. Korespondenci z pola walki zaznaczają, że wojska amerykańskie są stosunkowo "zielone" i że w starciach z niemieckimi wygami wojennymi musiały przegrać. Prasa amerykańska nie ukrywa niezadowolenia: zarówno prasa jak i amerykańskie koła urzędowe ze znamienną dla tej młodej demokracji szczerością jakże godną naśladowania — powiadają, że porażka jest poważna i że nie ma co ukrywać, iż sytuacja jest niemiła.

Generał Alexander objął kierownictwo działaniami w Tunisie a armia 8-a naciera na wroga coraz ostrzej. Jest ona dzisiaj na przedpolu linii Mareth i przez zajęcie wyspy Dżeba zagraża poważnie od strony wschodniej całej niemieckiej linii obrony. Wydaje się, że armii 8-ej przypadnie w udziale decydująca rola w tej ciekawej walce. Jeżeli złamie ona linię Mareth albo obejdzie z tej czy innej strony te umocnienia — los Niemców jest przesądzony. Otrzymają oni wtedy uderzenie o niebywałej sile: 8-a armia jest "w formie," ma za sobą doświadczenie, ma zgromadzone zasoby i zapasy. Jeden ze sprawozdawców brytyjskich donosi z frontu, że wyposażenie 8-ej armii jest obecnie wspaniałe: "widziałem po drodze tabory i kolumny z zaopatrzeniem, ciągnące się na przestrzeni 240 km. Był to wspaniały pokaz siły."

Przypuszczać należy, że armia 8-a pokaże zęby. Winna się ona śpieszyć, ażeby dobrać się Niemcom do skóry, zanim ich zagony ku liniom amerykańskim staną się zbyt poważne. Przyczółek tunetański nie będzie zapewne orzechem łatwym do zgryzienia. Generał Catroux, który przebywa obecnie w Afryce płn. jako łącznik między generałem de Gaulle a generałem Giraud, zaznaczył w wywiadzie prasowym, że "w dwa miesiące Tunis winien być nasz." Nie wiemy, czy przepowiednia ta się ziści.

Sprawozdawca wojskowy "*Sunday Expressu*" / dnia 21-ego lutego/ powiada, że należy się liczyć, niestety, z opóźnieniem się terminu inwazji Europy, albowiem dopóki Tunis nie zostanie wyczyszczony, nie można podjąć tych działań. Nie wiemy, czy pogląd taki jest w pełni słuszny. Doniesienie niemieckie — przy pomocy różnych rzekomo niezawisłych lub neutralnych ajencyj prasowych jak Międzynarodowa Ajencja Informacyjna, czy Ajencja Skandynawska — wskazywały kilka dni temu, że uderzenie sojusznicze może wyjść *nie tylko z Afryki*, ale że koncentracja barek inwazyjnych oraz oddziałów spadochronowych w okolicach Palestyny i Syrii mówi, iż uderzenie z tamtej strony jest również możliwością.

"*Scrutator*" w swoim artykule w "*Sunday Times*" z dnia 21-ego b.m. powiada, że porażki Amerykan w Tunisie opóźniły niestety działania na tym ważnym odcinku. Co do tego nie ma dwóch zdań — trzeba zrobić wszystko, ażeby naprawić te niepowodzenia i ażeby przez szybki napływ sprzętu wyrównać braki. Najważniejsze braki to bodaj pościgowce oraz ciężkie czołgi /Niemcy mają w akcji swoje Mark VI o wadze 53 ton/. Peter Masefield zaznacza słusznie w cytowanym już artykule, że Niemcy utrzymują stałą strugę dopływu samolotów z Sycylii i Włoch, podczas gdy sojusznicy nie mają odpowiedniego *zaplecza lotniczego*.

TOTALNA MOBILIZACJA W RZESZY

Sprawozdawcy pism neutralnych /których pilne studiowanie jest dzisiaj rzeczą nieodzowną dla uzyskania możliwie przybliżonego obrazu położenia w Europie/ — donoszą, że tematem rozmów całej Rzeszy jest nie tyle wojna, ile mobilizacja totalna. Korespondent berliński pisma "*Svenska Dagbladet*" donosi dnia 17-ego b.m., że partia dokonała całkowitej mobilizacji swoich sił i że Goebbels uzyskał nową bardzo rozległą władzę. On też wypowiedział mowę w *Sportpalast*, mowę, która otwiera niewątpliwie kampanię totalnej mobilizacji.

Dziennikarze szwedzcy wskazują, że *Rzesza zamienia się w jeden obóz wojenny*. Zamyka się sklepy, restauracje znikają, siły kobiece zapędza się masowo do fabryk, najstarsze roczniki idą pod broń dla strzeżenia obiektów, urzędnicy idą do fabryk broni. Ci dziennikarze neutralni, którzy znają Rosję sowiecką zaznaczają, że Rzesza stara się dokonać tego, czego dokonała Rosja sowiecka na wstępie tej wojny. Znany dziennikarz szwedzki Gunnar Müllern pisze na łamach "*Aftonbladet*" z dnia 15. b.m., że w Rzeszy znikają podziały społeczne, że niwelują się ostatecznie klasy i że Niemcy zaczynają przypominać państwo jednoklasowe, państwo robotników wojennych, gdzie prawa własności prywatnej zaczynają znikać i gdzie jednostka traci resztki przywilejów, jakie się zachowały.

Trzeba sobie zdać sprawę, że Rzesza dokonuje olbrzymiej próby — czy jak chce Gunnar Müllern — "rewolucji," która ma na celu wydobycie ostatnich sił ludzkich i rezerw z narodu niemieckiego. Wszystko to odbywa się pod hasłem: "śmierć albo zwycięstwo," "nie mamy już wyboru," i innych wywieszek, przygotowanych przez ministerstwo propagandy Rzeszy.

Rzesza oczekuje — jak można wnioskować z prasy niemieckiej — że potrafi zmobilizować do lata b.r. jakieś 3 miliony ludzi dla frontu wschodniego i że uderzy w lecie. Ale nie bardzo jakoś wydaje się to możliwe. Nawet jeżeli istotnie Rzesza potrafi wydobyć jeszcze 3 miliony ludzi, to *jakość tego żołnierza* nie będzie już dobra. Nawet jeżeli Rzesza wyprodukuje sprzęt do lata, to nie będzie to sprzęt najlepszy, gdyż robiony pośpiesznie. Nawet jeżeli przywróci dawnych generałów jak von Halder czy nawet von Bock, to jeszcze nie znaczy, ażeby wojska niemieckie zdolne były do skutecznej ofensywy.

Jest rzeczą znamienną, że prasa niemiecka oraz rozgłośnie Trzeciej Rzeszy operują dzisiaj pojęciami — wroga. Mówi się więc, że *przestrzeń zaczyna teraz grać na korzyść armii niemieckiej*, że wojska niemieckie unikają okrążenia i wycofują się, aż będą mogły odpowiednio uderzyć. Najwidoczniej sztab niemiecki, którego losy są niepewne, albowiem nie wiemy, jakie nowe siły zostały tam powołane — liczy na wciągnięcie pewnych sił sowieckich przez cofanie się, może przewiduje utrzymanie takiej czy innej linii obrony, ale jakiej? Czy linii Dniepru, która może być sforsowana lada dzień, jeżeli uda się uderzenie sowieckie w kierunku Dniepropetrowska — przecięcie rzeki — czy też dalej na t.zw. linii Moltkego, a więc w oparciu o bagna i błota Prypeci?

KU POŁTAWIE

Wojska sowieckie w dniu 25-ciolecia swojego powstania mają do zanotowania nowe sukcesy. Zbliżają się one dzisiaj do Połtawy, gdzie ongiś król-awanturnik, Karol XII poniósł klęskę, ku Orłowi, ważnemu spojeniu frontów środka i południa i ku Dnieprowi. Celem marszu sowieckiego jest odosobnienie Krymu i uzyskanie takich postępów na południu, by front północny musiał się ruszyć.

Komunikaty niemieckie powiadają, że odwilż już się zaczyna, ale raczej wydaje się, że jest to chwilowa zmiana w pogodzie. Poważnej odwilży nie należy oczekiwać przed początkiem kwietnia. Do tego czasu wiele może się zdarzyć.

Sprawozdawcy brytyjscy z Moskwy donosząc o powodzeniach armii sowieckiej zaznaczają, że ma ona dzisiaj lepsze uzbrojenie nie tylko od sprzętu w r. 1941 ale i w r. ub. Pozatem "*mobility*" tej armii jest dzisiaj olbrzymim jej atutem — ta właśnie zaleta, która była najgroźniejszą bronią armii niemieckiej w r. 1941.

Złamanie linii Dniepru — rzeki nie stanowią dzisiaj wielkiej przeszkody, jeżeli nie kryją się za nimi potężne fortyfikacje i umocnienia w głąb — będzie dowodem, że armia niemiecka musi się cofać jeszcze dalej, przypuszczalnie na ową linię Moltkego i że skrócenie frontu o 1000 km, czy więcej, jest koniecznością.

Jeżeli tak, to rozpoczęcie przez tak cofającą się armię ofensywy w lecie, wydaje się wcale wątpliwe. Raczej narzuca się myśl, że Niemcy chcieliby powtórzyć swój sukces z przeszłej wojny, pod Tannenbergiem, przez wciągnięcie Rosjan na tym czy innym odcinku. Ponieważ na południu mają najwięcej *miejsca dla manewru*, należało by oczekiwać takiej próby *właśnie na południu*, a nie na północy.

Opinia anglosaska śledzi z największą uwagą postępy sowieckich sojuszników. Pisma angielskie, a w jeszcze większej mierze amerykańskie dyskutują szczerze rozmaite możliwości i zagadnienia, jakie postępy te rodzą. "*Observer*" z dnia 21.II. w artykule "*Russia's Army and Europe's Fate*" stwierdza, że pojawiają się już dzisiaj pewne "momenty polityczne," które sojusznicy winni szczerze przedyskutować. Pismo to sądzi, że USA, W. Brytania i Rosja mogą "gwarantować Europę Środkową . . . sojusznicy natomiast mogą gwarantować granice Rosji i jej interesy w wschodniej Europie, ale tylko jako część składowa wspólnoty europejskiej."

"*Sunday Dispatch*" w depeszy swojego nowojorskiego korespondenta, Iddona, szczerze opowiada o nastrojach w USA i przewiduje spotkanie Stalin-Roosevelt. Amerykanie chcieliby także znaleźć furtkę dla Finlandii i uważają, iż tylko szczere i rzeczowe przedyskutowanie celów wojny Rosji i Anglosasów, może dać odpowiednie rozwiązanie dla złożonej sytuacji.

Głosów takich jest dzisiaj wiele. Dowodzą one, że *mocarstwa anglosaskie rozumieją, iż mowa sojuszników musi być wspólna i że Karta Atlantycka winna obowiązywać wszystkich*. Jest to czujność, która dowodzi, że Waszyngton doskonale sobie zdaje sprawę z obaw Europy i że ma on wyczucie spraw kontynentu.

Londyn, 22. lutego 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

15 *lutego: Polskie dywizjony bombowe w nocy z 14/15 bombardowały Kolonię. Wszystkie załogi polskie powróciły.*

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. W czasie tej akcji doszło do spotkania z myśliwcami niemieckimi. Polscy piloci strącili napewno dwa Focke-Wulf-190, a trzeci prawdopodobnie. Wszystkie samoloty polskie powróciły do bazy.

—Naczelny Wódz przyjął admirała Sir G. B. Dickens, ustępującego oficera łącznikowego między Admiralicją a sprzymierzonymi marynarkami wojennymi. Następcą adm. Dickens mianowany został admirał E. L. S. King.

16 *lutego: Czerwona Armia wkroczyła do Charkowa.*

—Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały zadanie wymiatania nad terenem północnej Francji. Do spotkania z nieprzyjacielem nie doszło. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

17 *lutego: Polskie dywizjony myśliwskie przeprowadzały zadanie wymiatania nad północną Francją. Do spotkania z lotnictwem nieprzyjacielskim nie doszło. Samoloty polskie powróciły szczęśliwie.*

18 *lutego: Na tajnym posiedzeniu komisji spraw zagranicznych Rady Narodowej R.P. kierownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych min. Raczyński złożył sprawozdanie na temat obecnych stosunków polsko-rosyjskich.*

19 *lutego: Pod przewodnictwem prezesa Rady Ministrów gen. Sikorskiego odbyło się posiedzenie Rady Ministrów, na którym zajmowano się sprawami polsko-sowieckimi.*

—Polskie samoloty myśliwskie patrolowały brzegi W. Brytanii. Spotkane nieprzyjacielskie samoloty myśliwskie uchyliły się od walki.

20 *lutego: W nocy z 19/20 polskie dywizjony bombowe brały udział w silnym nalocie na Wilhelmshaven. Jedna załoga polska zmuszona była wodować, została jednak wyratowana.*

Wojna na morzu

JESZCZE O WOJNIE PODWODNEJ

Generał Sir Douglas Brownrigg w "*Evening* News" pisze: "Co za paradoks! W czwartym roku wojny Niemcy zmuszone zostały do defensywy na lądzie i w powietrzu — to znaczy w obydwu elementach, w których przodowały od początku, posiadając wszelkie z przewagi wypływające korzyści. I szukają teraz rozwiązania w ofensywie morskiej — to znaczy w elemencie, gdzie potęga Wielkiej Brytanii i Ameryki zawsze dominowała."

Tyle gen. Brownrigg. Ale ze słów tych płynie głęboka i raz jeszcze potwierdzona prawda, że nie można — nawet dziś, w dobie szybkobieżnych środków walki, podbić morza potęgą lądu. To też nadzieje Hitlera na sforsowanie rozstrzygnięcia drogą wojny podwodnej — są conajmniej spóźnione. I nawet duże straty zadane Sprzymierzonym nie zmienią już nic w fatalnych wyrokach losu.

Ostatnia nadzieja Hitlera — admirał Doenitz — wypowiedział wprawdzie wiele pięknych słów:

1/ Dowiodę, że okręty podwodne mogą wygrać wojnę same. Dla nas nie ma nic niemożliwego.

2/ Samolot nie może zabić okrętu podwodnego, tak jak kruk nie może zabić kreta.

3/ Okręty nieprzyjaciela muszą być zatopione. Losy Niemiec zależą od tego.

4/ Cała marynarka niemiecka przejdzie w służbę wojny podwodnej. Wojna ta będzie prowadzona bez ograniczeń, nieubłaganie, aż do zniszczenia nieprzyjaciela . . .

Ale w rzeczywistości sprawy przedstawiają się nieco inaczej:

1/ Okręty podwodne nie mogą wygrać wojny bez współdziałania sił nawodnych i powietrznych. Nawodne siły niemieckie nie mogą mierzyć się z flotami sprzymierzonymi, a powietrzne znajdą w górze groźnego dla siebie przeciwnika. Zresztą te ostatnie mają w tej chwili dużo do roboty z ratowaniem sytuacji "osi" gdzie indziej.

2/ Że samoloty mogą w pomyślnych warunkach niszczyć okręty podwodne, a w każdym razie utrudniać w dzień ich działalność, świadczą ostatnie działania "*Coastal Command*" wokół Anglii, w Zatoce Biskajskiej i na Morzu Śródziemnym. /Lotnictwo polskie brało w nich udział./ Zaś samoloty w połączeniu z korwetami, kontrtorpedowcami i ścigaczami — są już bardzo groźne.

3/ Ilość zatopionych statków sojuszniczych nie wzrasta, rośnie natomiast przeciwdziałanie Sprzymierzonych na wodzie i w powietrzu. Rośnie też, a nie spada, tonaż handlowy Sprzymierzonych, dzięki udoskonaleniu budownictwa okrętowego. W ostatnim swym przemówieniu Churchill oświadczył, że w ciągu półrocza zbudowano 1,250,000 ton więcej niż stracono.

4/ W ubiegłej wojnie — gdy zabrakło ochotników — dowództwo niemieckie usiłowało też przerzucić z "urzędu" załogi okrętów nawodnych na podwodne. Dało to fatalne rezultaty. Marynarz przyzwyczajony do stosunkowo komfortowego bytowania na krążowniku, z trudem oswaja się z ciężką i bardzo niebezpieczną służbą na okręcie podwodnym. W każdym razie rzadko kiedy staje się pełnowartościowym "podwodnikiem." Trudno przypuszczać, aby w czwartym roku wojny Niemcy znajdowały wielu entuzjastów do tej służby. Przytem zużycie sprzętu i zmęczenie personelu też stanowią pozycję nie do lekceważenia.

Reasumując, niebezpieczeństwo wojny podwodnej istnieje i to poważne . . . Ale "trzeci element" nie da Hitlerowi zwycięstwa tak samo, jak mu go nie dały oba poprzednie. Na trzy miliony żołnierzy brytyjskich, przewiezionych morzem, zginęło tylko 1348. W pierwszym roku wojny operujący niemiecki okręt podwodny zatapiał średnio 19 statków, w drugim 12, w trzecim 7½, w czwartym średnia dalej spada.

Natomiast wzrasta ilość zniszczonych korsarzy podwodnych. Operują oni teraz grupami, co wprawdzie zwiększa siłę ataku, ale równocześnie zmniejsza wielkość stref zagrożonych. Dawniej pojedyncze okręty podwodne rozsiane były po morzach szerokim wachlarzem, teraz zbierają się w "stada wilków," groźne, ale też łatwiejsze do wytropienia i zlokalizowania.

Jednym słowem *Brytania będzie dalej królować na falach. I jeśli los Niemiec zależy — jak chce Doenitz — od wojny podwodnej, to los ten jest przesądzony.*

GUADALCANAL

Największym sukcesem Amerykanów na Oceanie Spokojnym jest niewątpliwie ewakuacja przez Japończyków wyspy Guadalcanal na Salomonach, oraz Buna na Nowej Gwinei. Okazuje się, że — mimo strat — Amerykanie osiągnęli lokalną przewagę nad rozproszonymi na wielkich przestrzeniach siłami morskimi przeciwnika. Ostatnia koncentracja floty japońskiej na tych wodach, miała niewątpliwie za zadanie przyjście z pomocą zagrożonym siłom lądowym. Udało się to — naszym zdaniem — tylko częściowo. To znaczy coś niecoś mogli Japończycy wycofać.

Amerykanie przyznają się do straty ciężkiego krążownika "Chicago" i jednego kontrtorpedowca. Japończycy stracić mieli w tej ostatniej fazie dwa kontrtorpedowce, ponadto zaś 4 dalsze zostały uszkodzone. Straty japońskie w powietrzu obliczane są na 66 samolotów, amerykańskie na 23.

Prasa amerykańska ocenia straty japońskie od początku wojny: w okrętach wojennych — 107 zatopionych, 26 prawdopodobnie zatopionych i 142 uszkodzonych, w statkach handlowych — 150 zatopionych, 18 prawdopodobnie zatopionych i 81 uszkodzonych.

W tymże czasie Amerykanie stracili: okrętów wojennych zatopionych 71, straconych z innych powodów 12, i zniszczonych wskutek działań 9. Okrętów uszkodzonych oraz strat marynarki handlowej prasa amerykańska nie podaje.

NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Jeden z poważniejszych publicystów polskich napisał niedawno, że "Luftwaffe" panuje w Cieśninie Sycylijskiej, a Kreta i Morze Koralowe są dowodem, że na morzach wewnętrznych lotnictwo ma więcej do powiedzenia od marynarki.

Poglądowi temu przeczą fakty. Sojusznicy zagrażają poważnie komunikacjom nieprzyjaciela na wodach Tunisu i Sycylii, topiąc średnio jedną trzecią jego statków /84 w ciągu ostatnich trzech miesięcy/. Czy "Luftwaffe" panuje tu niepodzielnie — jest kwestią, którą rozstrzygnie najbliższy czas. W każdym razie przerzucanie ciężkiego sprzętu i poważniejszych zasobów nie jest dla "osi" łatwe. I nawet pomoc "Luftwaffe" nie pozwoliła Mussoliniemu ani spędzić brytyjskich okrętów z powierzchni morza, ani nawet zagrozić poważnie Malcie, temu zakotwiczonemu na środku Śródziemnomorza kamiennemu okrętowi. Przeciwnie — Malta dziś oddaje razy z nawiązką.

Morze Koralowe było specyficznym teatrem operacyjnym, a zresztą marynarka i lotnictwo działały tam wspólnie. Przewaga sił powietrznych U.S.A. pomogła własnej marynarce do zwycięstwa. Zresztą te dalekie wody nasuwają inne możliwości operacyjne niż Europa.

Ale najbardziej charakterystyczny jest przykład Krety. Rzekoma przewaga lotnictwa nad marynarką wypływała tam z prostej przyczyny: lotnictwo "osi" było 7-8 razy silniejsze ilościowo, a co ważniejsze — rozporządzało bazami, położonymi na Dodekanezie lub na Peloponezie /80—120 km/. Lotnictwo brytyjskie — aby nie wpaść w ręce nieprzyjaciela, musiało być wyewakuowane na Cypr lub do Egiptu /800—1000 km/. Mimo to marynarka brytyjska, kosztem straty 4 krążowników i 3 kontrtorpedowców nie tylko wyewakuowała z Krety 75% sił sprzymierzonych, ale też zatopiła około 50 statków nieprzyjacielskich z wojskiem i zaopatrzeniem. Gdyby nie ona — porażka zamieniłaby się w klęskę.

Ale też zdani na samo tylko lotnictwo Niemcy — nie mogli nadać operacjom swoim projektowanej skali. Nie było już łańcucha wysp, nadających się na lotniska, między Kretą a lądem afrykańskim. Niemcy musieli tedy zrezygnować z desantu w Egipcie, czy choćby na Cyprze. Więcej nawet: "petainowskich" Francuzów musieli pozostawić w Syrii własnemu losowi.

I dlatego *operacje śródziemnomorskie są właśnie dowodem, że na morzach wewnętrznych marynarka, lotnictwo i wojsko stanowią nierozerwalną całość taktyczno-operacyjną.* Brak jednego ogniwa uniemożliwia zwycięstwo.

MORZE CZARNE

Desanty sowieckie, lądując na tyłach nieprzyjaciela, zajęły okolice bazy czarnomorskiej — Noworosyjska. Jeszcze jeden dowód, jak na morzu wewnętrznym potrzebna jest flota i jak bez niej lądowe zdobycze "osi" okazały się trudne do utrzymania. Współpraca sowieckiej floty z wojskiem była tu od początku do końca idealna.

W chwili gdy piszemy te słowa, zaczyna się walka o Kercz. Cieśnina ta jest płytka; zimą często zamarza. Nie mamy danych aby stwierdzić obecny stan rzeczy. Fakt jednak, że ewakuacja sił niemieckich z półwyspu Tamań odbywać się może chyba tylko drogą powietrzną, z pozostawieniem ciężkiego sprzętu.

POLSKA MARYNARKA WOJENNA

Raport dowódcy O.R.P. "Błyskawica" o walkach na wybrzeżu Północnej Afryki kończy się słowami:

"Muszę podkreślić naprawdę bohaterskie zachowanie się załogi okrętu. Bardzo ciężko ranni zachowywali się tak, że nie wstydziłem się mego wzruszenia. Wszyscy prawie, z którymi rozmawiałem, a niektórzy z nich nie będą żyli lub zostaną kalekami na całe życie, chcieli tylko jak najprędzej wrócić na okręt i to koniecznie na "Błyskawicę" — by pomścić się na Szwabach. Pytali się czy samolot aby został zestrzelony. Paru wypowiadało obawę, czy jeszcze zdolni będą do służby w Marynarce Wojennej. Jeden z nich — kucharz, Białorusin, zawsze wymizerowany, pierwszy z ochotników z wojska do marynarki, rocznik 1940, został bardzo ciężko ranny w nogę, brzuch i klatkę piersiową. Leżąc skurczony, wstydliwie pocieszał mnie, że jemu właściwie nic się nie stało. To "trochę w nogę" nie pozwala mu chodzić a w piersiach to nic mu nie jest, tylko ciężko mu dech złapać. Ale on i tak będzie prędko znowu z "panem komandorem," bo przecież był ze mną już na "Piorunie." "To tak trochę tylko, to przecież wojna."

Ranni odsyłali doktora, tłumacząc, aby lepiej innemu pomógł — "o, temu co ciężko oddycha." Ten co miał rękę całą starał się napoić tego, który był już bez ręki lub miał ją skaleczoną.

Duch załogi okrętu wyszedł zwycięsko z tego ciężkiego doświadczenia. Oby Bóg ocalił jak najwięcej tych pokrwawionych, dzielnych, młodych chłopców dla naszej Marynarki."

Jak wiadomo ORP "Błyskawica" brał udział w kilku operacjach na Morzu Śródziemnym, w czasie których stoczył szereg walk z okrętami podwodnymi i samolotami nieprzyjaciela.

JULIAN GINSBERT

Z Generałem do Ameryki

II. W sercu 48-miu krajów*

Niełatwo można wytłumaczyć, dlaczego Waszyngton, oddalony o cztery tysiące kilometrów od zachodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych i leżący niewiele bliżej rzeki Sacramento, czy Nevady czy Arizony, a oparty prawie plecami o atlantycką granicę—jest stolicą tak, jak był nią kiedyś, gdy sfederowanych stanów było trzynaście.

Że jest nią i dziś — widać wyraźnie. Czterdzieści osiem alei z nazwami stanów schodzi się z wszystkich kierunków gwiaździsto w śródmieściu, spotykając się wokół parku z pomnikami bohaterów narodowych i niemal przed bramami białej siedziby prezydentów. Po czterdziestu ośmiu alejach i stu innych ulicach, numerowanych lub nazywanych alfabetycznie, chodzi tętniące życie amerykańskie.

Wypełnia ono i piękne budowle Kapitolu, Senatu, Sądu Najwyższego i gmach Kongresu, ministerstwa i sztaby. Ludzie pracujący za biurkami, jak i stojący przed nimi, pochodzą z różnych stron. Tych samych ludzi można spotkać również przy bufecie w ludowej *Drug-Store,* w przedziwnej instytucji, która przetrwała w niezmienionej formie od czasów pierwszych osadników i w której można nabyć wszystko, od lekarstwa i książki do butów i toporka.

Samochody, parkowane setkami na placach lub przepływające wzdłuż ulic, o doskonałych aerodynamicznych liniach, mają tabliczki z najbliższych i najbardziej odległych stanów.

Na *Union Station* tablice towarzystw kolejowych wskazują odległe stacje, daleko na zachodzie lub południu, do których prowadzące tory zaczynają się właśnie w tym miejscu—za balustradą z budkami bileterów. Z lotniska startują maszyny pasażerskie "Wielkiej Srebrnej Floty," *Pan-American Airlines* lub transkontynentalnej "*TWA*" i rozlatują się wachlarzem swoich tras do Alaski, do Los Angeles, na Florydę, ku Meksykowi i dalej. Istotnie, tu jest serce i mózg tych krajów, rozłożonych na powierzchni blisko ośmiu milionów kilometrów kwadratowych.

Generała Sikorskiego powitało od pierwszych jego kroków w Ameryce zainteresowanie wielkie i wielostronne.

W stolicy żyjącej pełnym tempem wojennym, jak i w Nowym Yorku, w Pittsburgu, w Chicago, rozszedł się szeroko anons komunikatów radiowych i prasy, że przyleciał z za oceanu "*to discuss Allied war strategy and post-war problems.*" Obsługa dyplomatyczna Reutera podała, że "stało się już zwyczajem, iż Prezydent Stanów Zjednoczonych i Premier Polski w większych lub mniejszych odstępach czasu spotykają się, by wspólnie omawiać doniosłe sprawy, wynikające z aktualnej sytuacji."

Sprawy i sytuacja obecna—rzeczywiście doniosłe. Opinia publiczna chce w takich chwilach szczegółów. Tymczasem już na wstępie Generał oświadczył prasie w formie nieoficjalnej, iż nie może wiele powiedzieć, aczkolwiek nie chce wojny z nią, z potęgą, której wielkość jest mu dobrze znana. Zaczęły się więc różne przypuszczenia. Niektórzy twierdzili, że przybył dla wzięcia udziału w planowaniu ostatecznej ofensywy wojennej, inni, że dla rozmów i opracowywania planów organizacji powojennej Europy, szczególnie wschodniej, że w kwestii granic Polski i wreszcie, że z potrzebami Sił Zbrojnych.

Sprawy te interesowały niesłychanie żywo prasę Polonii. Zapełniając swe szpalty dociekaniami, sprecyzowała w końcu: "Sikorski, jako Premier i Wódz Naczelny, a także jako wytrawny strateg, cieszący się wielkim uznaniem w sferach militarnych świata"—będzie konferował o wszystkich żywotnych problemach Polski i o większości ogólnoeuropejskich, lecz "bez względu na to, co stanowi główny cel podróży i o czym głównie mówić się będzie w czasie narad w Białym Domu, spodziewać się można śmiało, iż rozmowy te przyniosą skutki dla sprawy polskiej dobre, a to dlatego, iż Premier Sikorski i sprawa Polski cieszą się u Prezydenta i członków gabinetu jego szczerą przyjaźnią."

Jakby na potwierdzenie zaufania amerykańskich sfer wojskowych do wypowiedzeń polskiego Naczelnego Wodza, jako stratega, nowojorski *Journal American* ogłosił wiadomość:

"Naczelne Dowództwo Zjednoczonych Narodów ujawniło dziś, iż doszło do następującej konkluzji: Niemcy ostatnio zdecydowanie już przeszli do defensywy w Europie i tak pozostaną aż do ostatecznego rozgromienia. Pogląd ten jest podzielany w wysokich kołach oficjalnych i dyplomatycznych w Waszyngtonie. Tym, który wyraził to zdanie publicznie, wkrótce po konferencji z Prezydentem Rooseveltem, jest ostatni gość z zagranicy, generał Władysław Sikorski, Premier Rządu Polskiego na emigracji."

Ocenę jego strategicznych i politycznych przewidywań wypowiedzieli innym razem członkowie Komisji Spraw Zagranicznych Kongresu, na nadzwyczajnym tajnym posiedzeniu na Kapitolu. Po zakończeniu kilku-godzinnych obrad członkowie Komisji razem z przewodniczącym Sol Bloom'em dziękowali Generałowi za przedstawiony im realnie obraz sytuacji międzynarodowej i Polski. Przypomnieli przy tym, że szereg przewidywań, wypowiedzianych przez Generała rok temu, na podobnym posiedzeniu tejże Komisji, w tej samej sali — stał się w międzyczasie rzeczywistością.

Odbyła się konferencja prasowa. Przybyli przedstawiciele sześciu wielkich agencji telegraficzno-radiowych, czterech koncernów prasy i szesnastu reprezentantów pism codziennych, obsługujących w sumie — bez agencji Tassa — 9073 pisma w Ameryce i poza nią. Słuchali słów żołnierza-dyplomaty, jak Generała nazwali, z wielką uwagą. Rzeczowymi pytaniami potwierdzili zrozumienie wielu spraw europejskich, także i najistotniejszych polskich dogmatów.

Konferencja wreszcie w dużej mierze zaspokoiła głód ciekawości i zainteresowania. Pisma podały sążniste komunikaty.

Naprzeciw Białego Domu, po drugiej stronie Pennsylvania Avenue, mieszkał Generał w oddanej mu do dyspozycji gościnnej rezydencji Prezydenta. Między jedną a drugą konferencją z wybitnymi osobistościami tego kraju, pracował sam w swym gabinecie, przy biurku z wazonem biało-czerwonych kwiatów. Pod blairowskim stropem, wzniesionym za czasów Monroego, pracował tak, jak pod każdym innym dachem na ziemi i pod każdym niebem, gdziekolwiek go służba zawoła. Na piękne róże patrzył tak, myśląc pewnie o jakimś gdańskim problemie, jak i na oblodzone gałęzie brzozy w Kujbyszewie, z ojcowską troską o żołnierza i jak na źdźbło pustynnej trawy, leżąc pod tobruckim namiotem.

Kiedy już punkty zagadnień mieszały mu się i gubiły gdzieś między papierami, wychodził na spacer w stronę Kapitolu lub jechał nad ujście Potomac'u. Brał z sobą adiutanta, gdyż ten przynajmniej nic nie mówił i o nic nie pytał. Prezydentowski szofer również wiedzieć chciał co najwyżej, jaką dać szybkość. Stosował ją według życzenia.

W tym czasie Ambasada przy szesnastej ulicy i jej umundurowane *vis-à-vis,* na cztery ręce rozpracowywały otrzymany elaborat. Najczęściej jednak dzielna maszynistka w Blair House głowiła się samotnie lub wespół z pułkownikiem z Kanady. Czasem Radca dyktował.

Zwykle mieli pracę na ukończeniu, kiedy Generał wracał i wkreślał w nią nowe linie myśli. Maszynistka ochoczo i z oddaniem przepisywała od początku.

Któregoś dnia, dziesięć przed pierwszą do domu Blair'ów przybył wysoki dostojny pan z zadziwiającym spokojem w obliczu. Ten sam, tak dobrze znany z fotografii i pism europejskich z przed trzech lat — Sumner Welles.

Patrząc na niego, przypomina się, jak w owe ciężkie dni mąż ten milcząco i spokojnie odmierzał swe dyplomatyczne kroki po Europie, która czekała z zapartym tchem na sprawiedliwe słowa, jakie przez jego usta miał wypowiedzieć Wuj Sam. Ale dyplomata odjechał bez słów w swój daleki, spokojny podówczas świat, gdy w naszym wrzało coraz gwałtowniej. Dlatego może niektórzy czuli cichy żal.

Dziś żywimy inne uczucia. Amerykański dyplomata myśli często o wojnie i o wspólnym wrogu. Jest sprzymierzonym.

Minister oderwał wzrok od batalistycznych sztychów, kiedy Generał wyszedł z gabinetu. Powitał go gorąco, jak gdyby spotykali się pierwszy raz po długim niewidzeniu.

Rozmawiali chwilę. Siwy portier podał czapkę generalską i kapelusz ministra.

Idąc wdół schodów ku ulicy, Sumner Welles wykonał ruch, jakby chciał wziąć Generała pod rękę. Wstrzymał się, spojrzawszy na jego sylwetkę. Uśmiechnął się sam do siebie.

Policjant zatrzymał ruch na alei, kiedy przechodzili w poprzek. W bramie naprzeciw, pod rozwiniętym gwiaździstym sztandarem warta sprezentowała broń.

Znikli pod kolumnadą Białego Domu.

Kiedy siwy portier zamykał drzwi Blair House'u, panienka przy telefonie odpowiadała jakiemuś dziennikarzowi:

—Jego Ekscelencja udał się w towarzystwie ministra Welles'a do Białego Domu na narady.

Tylko dyplomata z zadziwiającym spokojem w obliczu był świadkiem tych ważnych rozmów.

Po dwóch godzinach wrócił do Blair House'u z Generałem. Idąc po schodach do otwartych drzwi znowu chciał podać rękę. Zawahał się znowu i uśmiechnął w zamyśleniu. Na pożegnanie mocno uścisnęli sobie dłonie.

Generał poszedł na górę.

Kiedy wychodziłem z jego gabinetu, Generał wstrzymał mnie.

—Cóż za pośpiech? — i z uśmiechem popatrzył z bliska w oczy. Ciepło podziękował za herbatę i kazał mi natychmiast pójść zwiedzać Galerię Mellona. Albo oglądać, co mi się żywnie podoba.

Był w doskonałym nastroju.

Ten pobyt Generała w Waszyngtonie pierwszy z trzech w ciągu tej podróży, był pod znakiem konferencji zasadniczych. Niewiele można mówić o przebiegu i tematach, gdyż niewielu jest ludzi, którzy byli ich świadkami. Więcej wiedzą ci, w których kompetencji leży planowanie prac na stworzonych podstawach.

Między konferencjami o charakterze czysto politycznym, to jest, dwoma głównymi z Prezydentem, wieloma spotkaniami z Sumner Welles'em, Cordell Hull'em, z ministrami: Wojny — Stimsonem i Marynarki— pułkownikiem Knox'em, z Sol Bloom'em i Senatorem Conallym oraz z przedstawicielami Państw Sprzymierzonych z Lordem Halifax'em na czele — miały miejsce liczne rozmowy z oficjalnymi czynnikami wojskowymi. Najważniejszymi z pośród nich były narady z Gen. Marshallem i Strongiem, z Szefem Sztabu Naczelnego Wodza USA Admirałem Leahy, z Dowódcą Lotnictwa, Gen. Arnoldem i Operacji Morskich — Admirałem Kingiem oraz kilkakrotne rozmowy z szefem Brytyjskiej Misji Wojskowej, Sir John Dillem i jego generałami.

Militarna strona zagadnień polskich a także ogólnych, przedstawiana wszechstronnie przez Naczelnego Wodza, była następnie przedmiotem dokładnych rozważań dowódców amerykańskich wspólnie z przedstawicielem Sztabu Armii Polskiej. Na prośbę Prezydenta i jego wojskowych współpracowników, nasz Naczelny Wódz w czasie podróży robił przegląd wysiłku wojennego Ameryki. Że cyfry amerykańskie nie są fikcją, Generał mógł stwierdzić nie tylko w raportach i statystykach ministerstw i sztabów, ale i w produkcji potężnego przemysłu, w olbrzymich zakładach Gleen-Martin'a, później Chryslera, w składnicach wojskowych.

Rozjaśnia się horyzont przybyszowi, który widzi, że Ameryka nie pracuje już tylko nad produkcją filmową i nad hodowlą rasowych koni w Kentucky, że zamiast modeli luksusowych samochodów, montuje w tych samych halach fabrycznych i śle na fronty — groźne czołgi i działa, troop-carriers'y i bombowce, z portów — lotniskowce i pancerniki.

Waszyngton dwie daty pamięta. Sierpień 1939 roku i druga — 7-my grudnia 1941.

Ta ostatnia tkwi głęboko w myśli każdego Amerykanina. Coś, jak dzień żałoby, jak wspomnienie rodzinnego wstydu. Nie mówi się o nim obecnie wiele. Na widoku publicznym pozostał jedynie rzadki afisz, impresywny, surowy, jak pomnik poległych w wielkiej katastrofie.

Na tle ponurych ogni i dymów — rwany huraganowym wichrem gwiaździsty sztandar Ameryki. Drzewce obejmuje skrwawiona ręka. Poprzez nadszarpnięte brzegi sztandaru, przez drzewce i ociekającą krwią dłoń — lakoniczny blokowy napis: "*Remember December the 7th*" . . .

I pamiętają rzeczywiście mocno. Ciąży w duszach to, że japoński ambasador chciał kontynuować jeszcze rozmowy w Waszyngtonie o warunkach współpracy wtedy, gdy pierwsze tysiące bomb japońskich spadały nieoczekiwanie z nieba na Pearl Harbour.

Znaczenie słów Hitlera z 1 sierpnia 1939, że nie chce prowadzić wojny przeciw dzieciom polskim i kobietom, jak i tych późniejszych, że jako dobry pasterz organizuje nowy ład na kontynencie Europy — Amerykanie rozumieją dobrze. Przez analogię.

Polskę znają coraz więcej. Mają na swej ziemi zdrową Polonię. Znają powszechnie to, o czym im mówił Paderewski swą sztuką i swym patriotyzmem. Mają i stare wzory. Pułaskich, Kościuszków. Wśród pomników bohaterów Ameryki przy *White House* stoi Naczelnik na swym kamiennym cokole. Ma poprawnie wyryte polskie nazwisko, nawet z przecinkiem nad "ś" we właściwą stronę wygiętym. Jest w stroju, w jakim go stare akwatinty i Matejkowe obrazy naszej wyobraźni dały, w postawie, którą uwieczniła chwalebnie nasza i ich historia.

Nas, współczesnych poznali w wojnie. Wszak Prezydent powiedział do Generała po drugiej konferencji, że Ameryka pamięta, iż wojna rozpoczęła się w Polsce, i wie, że jej żołnierz bije się twardo na wszystkich frontach.

To też żołnierz, który nosi na ramieniu wyszyte "Poland," nie może zjeść samotnie kolacji w zwykłej knajpce, czy w najlepszym hotelu. Nie zostawią go w spokoju i wracający z fabryk robotnicy, przy herbacie w *Drug-Store.*

Terenem publicznej i żywiołowej manifestacji dla Polski był Uniwersytet Katolicki.

Nadano uroczyście Generałowi godność doktora praw *honoris causa.* Generał wygłosił mowę doktorską o misji Polski. Wolni ludzie zachodu, oddzieleni tysiącami mil od europejskich balansów potęg, od totalizmów, od *Drang nach Osten* i kwestii korytarzy — usłyszeli słowa, które były historyczną i żywą prawdą. Chwilami oszałamiającą i bolesną, bo przeżywaną przecież przez ludzi.

Dostojni uczeni, których umysł budował obecny złoty wiek, wytrawni intelektualiści i młodzi studenci, wojskowi i dyplomaci, przedstawiciele duchowieństwa z 48-miu stanów, głoszącego na tych przestrzeniach prawa etyki — wybuchli entuzjazmem dla Polski, gdy mówca skończył i kiedy Arcybiskup Baltimore i Waszyngtonu, wskazując nań drżącą ręką, mówił w uniesieniu:

—Słyszeliście tę mowę! Przed wami stoi Premier i Wódz Naczelny tego Narodu, który Niemcy uważają za naród niższy! Spójrzcie nań!!!

Wiwaty szły przez aulę uniwersytecką.

Człowiek w mundurze stał bez ruchu. Przyjmował gorącą falę za swój daleki, miotający się w niewoli Naród. Zostawał doktorem praw na tej ziemi — jak rzekł — w chwili, gdy w jego kraju najeźdźca ogłasza, że prawo jest wyłącznym przywilejem tyranów i przemocy.

Arcybiskup przesłał dalekiemu Narodowi przysięgę:

—W imieniu katolickiej Ameryki przyrzekam nasze poparcie dla Sprawy Polski — modłami, słowami i czynami, aż wszyscy dyktatorzy, winni pastwienia się nad Narodem Polskim, zostaną zgnieceni przez sprawiedliwość Bożą.

Na dzień tej sprawiedliwości czekamy wielomilionowymi tęsknotami. Z bijącego żywo serca czterdziestu ośmiu krajów, z Waszyngtonu, droga powiodła przez Nowy York — w objęcia Polonii.

CEZARY OŚCIEŃ

Kapitol w Waszyngtonie



* Por.: I. Droga na Zachód w nr. 5 z b.r.

Kaźń na Montelupich

I.

Najstraszniejszy los, jaki może stać się udziałem żołnierza na wojnie — to niewola. W każdym innym położeniu, w jakie wojna potrafi wtrącić swoje dzieci, przyświeca im iskra nadziei, która pozwala wierzyć, iż przyszłość kryje w sobie zmianę złego losu, a koroną poświęceń i wysiłków będzie zwycięstwo.

Nie mam zamiaru bronić tego poglądu przed zdaniem oponentów o innym sposobie patrzenia na sprawę. Zamierzam tylko powiedzieć, że takie pojmowanie sprawy rozwinęło pośród grupki kolegów, zamkniętych w październiku 1939 r. poza drutami . . . skiego obozu jeńców, tak gorącą czynność, iż nie bacząc na zasieki, reflektory, straże i bezwzględne strzelanie do próbujących ucieczki, wykrzesali tyle energii i tyle pomysłowości, by ryzykując nawet życiem, wyjść na wolność.

Prawdziwa ofiarność osób cywilnych, za którą srodze potem odpokutowały, pozwoliła dopiero uwieńczyć nasze wysiłki. Nie mogę — bez ukrzywdzenia prawdy — pominąć stwierdzenia, że teorie różnic w odnoszeniu się nawzajem do siebie pewnych grup społeczeństwa polskiego, osiągające swój szczyt w lansowaniu antysemityzmu, nie mówiąc o głoszonych niejednokrotnie znacznych różnicach klas społecznych — okazały się w świetle prawdziwego nieszczęścia, sztucznie wydętą bańką mydlaną.

Przy takim zdecydowaniu wydarcie się na wolność z obozu jeńców było dziełem igraszki rozochoconego chłopaka. Życzliwość nieznanych przedtem ludzi dała nam możność zatarcia śladów, doprowadzenia się do stanu człowieka kulturalnego i wypoczęcia po wszystkich tak niecodziennych przejściach.

Stąd do Warszawy popłynęliśmy w ogromnej fali powracających uchodźców.

II.

Widok jaki oczy nasze ujrzały, kiedy dojeżdżaliśmy do Warszawy w dniu 13 października 1939 r. nie da się opisać niewprawnym piórem. Jeżeli historia narodów, państw i miast posiada swoje oblicze, to stolica nasza przybrała w owe dnie wyraz smutku, grozy i rozpaczliwego omdlenia, jaki zwykł malować się na twarzy człowieka uginającego się pod ciosami bandyty bez skrupułów.

Dla kogoś, kto nie walczył w obronie Warszawy, przedstawiała ona obraz podobny chyba do widoku zburzonej Kartaginy. Widok grozy zniszczenia, wywołujący uczucie dotkliwego bólu; żywy obraz z albumów Grottgera, uzasadniający naprawdę nadane ongiś temu twórcy miano wieszcza.

Fala czułej miłości wzbierała w każdym, kto przychodząc z zewnątrz do tego miasta cierpienia i bohaterstwa, widział następstwa dzikiej mściwości najeźdźców. Poprzedzało tę falę miłości uczucie dumy na myśl iż przywiązanie do wolnego istnienia i świadome poczucie honoru było treścią tego, co naród nosi w sobie. Ponury obraz zniszczenia i spustoszenia do stanu perzyny nie był znamieniem śmierci, był sztandarem siły i żywej woli narodu. Kto zaś umie i chce uparcie przejawiać swą wolę, będzie żył i kroczył po jedynej drodze, prowadzącej niezawodnie do zwycięstwa.

To pisała Warszawa w październiku roku pańskiego 1939 — głoskami skruszonych przez bomby domów, wzgórkami mogił na chodnikach miasta, to mówiła oczami, pozostałych przy życiu mieszkańców, którzy patrzyli na świat z jakąś dosadną powagą.

* * *

W tej Warszawie żyłem przez trzy tygodnie. Poczem otrzymałem polecenie stawienia się 9-go listopada w Krakowie. Ta okoliczność stała się dla mnie zbawczą. W Warszawie bowiem Niemcy zarządzili rejestrację oficerów, zrazu jako niewinną czynność porządkową. W rzeczywistości natomiast był to zabieg, który miał na celu ująć w ręce element oficerski, by wywieźć go potem do obozu jeńców.

Nie zgłosiłem się do rejestracji, uważając ten krok za niewskazany; niemniej jednak pobyt w tych warunkach w mieście był prawdziwie niebezpieczny dla życia. Gdy uchwycono n.p. w ulicznej łapance nierejestrowanego oficera, który brał udział w kampanii wrześniowej, czekała go na miejscu kula w łeb bez żadnych formalności i roztrząsania sprawy. Co gorsza w przychylnych okolicznościach w razie złapania szło się do niewoli, a tam przenigdy!

III.

W dniu 9-go listopada rano czekałem w Krakowie w umówionej kawiarni. Ledwie wypiłem herbatę, wpadła horda czterdziestu "Gestapowców." Z dobytą bronią, z przerażeniem na twarzy, z wrzaskiem "*Polen raus!*" — aresztują wszystkich obecnych na sali Polaków, wypuszczając z całą uprzejmością kobiety. Z kolei wpędzają nas do czekających krytych samochodów ciężarowych, wciskając niewiarygodną ilość ludzi do jednego wozu.

Kawalkada rusza, kluczy po ulicach miasta i nagle staje na ulicy Długiej. Do wozu podbiega dwóch "Gestapowców" z dobytymi rewolwerami. Pokazuje się, że z samochodu wyrzucono kartkę. Żądają natychmiastowego przyznania się "winowajcy." W przeciwnym razie dwóch dowolnie wybranych dostanie kulę w łeb po przybyciu na miejsce. Wóz rusza, nikt bowiem nie przyznaje się.

Po kilku minutach jazdy dobywają nas, jak śledzie z beczki, na asfalt podwórza Wojskowego Więzienia Śledczego przy ul. Montelupich. Ustawiają nas pięknie długim szeregiem pod ścianą i nakazują naturalnie: "ręce do góry."

Sprawa się rozpoczyna. Wprawdzie nie rozstrzeliwują obiecanych dwu, ale — brzmi groźba — o ile do pięciu minut nie zgłosi się "winowajca" wyrzuconej kartki, każdy trzeci, już ze wszystkich samochodów licząc, będzie rozstrzelany na miejscu. Sympatyczny herszt "Gestapowców," tytułowany przez nich "*Herr Doktor,*" z kokieteryjnym spojrzeniem ku zegarkowi na przegubie, zaczyna liczyć. "Już 50 sekund, a czas leci jak strzała" — rzuca uprzejmą uwagę, a w piękny, słoneczny dzień jesienny cisza zalega obszerny podwórzec więzienny między murami "Montelupich." Słychać — każdy jest przekonany — łomot serca sąsiada. "Minuta i 20 sekund" — wdzięczy się "*Herr Doktor.*" Zapadły cmentarz daleko za wsią tchnie majestatem ciszy, którą przerywa ponownie siepacz słowami: "Minuta i 55 sekund."

Kto nigdy nie studiował zagadnienia czasu nie wie, iż jest to pojęcie zaprawdę nieistniejące. Kto jednak przeżył podobnie bydlęcy sposób obchodzenia się z tak już nieszczęśliwymi ludźmi, wie co to są "minuty wieczności" i jaka dosadna prawda mieści się w tym określeniu. Jak bardzo potężny i bogaty jest duch ludzki, jeśli człowiek może w sekundach tyle przeżyć i to tak bardzo realnie, iż pozostają one wyraźnie, jasno i głęboko zapisane w umyśle i duszy ludzkiej.

Po refleksji postanowiłem, zaklinając się na szczęście dzieci moich i zbawienie duszy własnej, iż w wypadku, gdy los postawi mnie w odwrotnym stosunku, nigdy nie będę narażać niemieckich bydląt na takie cierpienia. Kiedy wrócimy do Polski, a przedtem przecie przyjdzie się rozprawić z Niemcami, nie narażę żadnego spotkanego Niemca na tortury przedsmaku potępieńczej wieczności. Kto grozi, jak "*Herr Doktor*" ten niczego nie zrobi, kto działa przekonany o swej sprawie, jak my wszyscy: strzela.

Po trzecim grożeniu winowajca przyznał się, otrzymał nauczkę na temat niekoleżeństwa w nieszczęściu i poszedł do pojedyńczej celi. Nas z kolei zbir zapewnił, że wiedzieliśmy chyba, iż on tylko żartuje.

Potem wyłączono spośród nas Żydów, a nas samych podzielono na dwie grupy. Jednych osadzono w kaplicy więziennej, mnie zaś przypadła w udziale pokuta w świetlicy więziennej, gdzie pomieszczono 36 osób, w tym 24 nauczycieli gimnazjum VIII. i IX. z dyrektorami i katechetą na czele, ponadto czterech inżynierów z przemysłu górnośląskiego, 2 oficerów służby stałej, rektora Akademii Górniczej, którego wsadzono tu zamiast do Oranienburga, dyrektora krakowskiej Izby Handlowo-Przemysłowej a w końcu jednego kelnera.

Warunki pomieszczenia nad wyraz prymitywne. Dla mnie pamiętającego inne więzienie polityczne były one szczytem komfortu. W rzeczywistości zaś jedyną wygodę życiową stanowił siennik jeden na dwu, z wspomnieniem słomy wewnątrz. Poza tym ludzie złapani na ulicy, lub porwani ze szkoły od zajęć, bez kawałka mydła, bez żyletki, przy niemożności zmiany bielizny ani wyprania jej — musieli żyć tygodniami w ciągłej niepewności o swój los.

Przede wszystkim powiedziano nam, że jedyną karą porządkową, przewidzianą dla nas jest rozstrzelanie, a szczególnie jeżeli w dniu 11-go lub 29-go listopada będą na mieście jakiekolwiek rozruchy, albo odruchy podejrzane, to zostaniemy również rozstrzelani, tym razem w zaszczytnym charakterze zakładników.

Na mnie nie uczyniło to żadnego wrażenia. Zastanowiła mnie tylko identyczność ujęcia sprawy ze sposobem, jaki zaobserwowałem już gdzie indziej. Ponadto byłem przeświadczony, że gestapowe katy rozstrzelają nas bez uprzedzenia na jeden telefon z ulicy Pomorskiej 2, gdzie usadowiła się krakowska władza naczelna policji nazistowskiej.

I tak czekaliśmy, licząc mocno jedynie na Boskie miłosierdzie. Szykany i dokuczania, jakim nas poddawano niech zostaną zapomniane. Sądzę zaś, iż interesujący jest w tym wszystkim charakter naszych oprawców. Otóż cela w "świetlicy" miała ich trzech.

Jeden był Niemcem rodowitym, "gestapowiec" czystej krwi, pies i kanalia w jednej osobie; nie szczędził nam przykrości i szykan, z których najmniejszą było szorowanie podłogi i sprzętów. Koroną jego programu postępowania wobec nas były nauki "moralne i ideowe" pomieszane z prowokacjami. A musieliśmy tego wysłuchiwać "na baczność" w specjalnym przez niego wymyślonym szyku. Ironia losu biła od tego widowiska. Przeważna część uwięzionych byli to nauczyciele, z których wielu nie dostąpiło nigdy dobrodziejstwa wzniosłych nauk P.W. i WF., a przytem byli to ludzie wiekowi. To też inteligencja tego moralnego bandyty wysnuwała swą myśl z powiedzonka, że "jak daleko panom do umiejętności stania na baczność, tak też daleko do zrozumienia haseł narodowego-socjalizmu." "Jedynie Adolf Hitler . . ."

Było to jakby złowieszcze echo tak niedawno w tej świetlicy wpajanych zasad i pojęć. W końcu na którejś z rzędu nauce dobrnął do upragnionego celu, a treść tej lekcji dałaby się zamknąć w takiej mniej więcej sentencji: "Gdyby żył Marszałek Piłsudski to zdobycze swoje w Polsce osiągnęliby Niemcy bez rozlewu krwi germańskiej, przy czym Polska uniknęłaby wszystkich tak dotkliwych zniszczeń." Co za wyrafinowany sposób poniżania wszystkiego, co może być bliskie, cenne.

Drugim, który z kolei miewał służbę był podobno Czech, pochodzący jednak z Sudetów. Ten dla odmiany chełpił się, że przed dziewięciu miesiącami był jeszcze Czechem. Dziś Czechy przestały istnieć na zawsze, on został więc "Gestapowcem" trochę z musu, a wreszcie przez przekonanie. Przestrzegał tylko pozorów i nieodzownego porządku.

Trzecim był Austriak. Jowialny typ Wiedeńczyka, którego charakter określa dobrze następujące zdarzenie. Kiedy dawaliśmy mu pieniądze z prośbą o poczynienie na mieście drobnych sprawunków, nie chciał przyjąć napiwku uzasadniając to tym, iż sam sobie zarobił napiwek, gdyż zamiast jechać tramwajem szedł piechotą, a zaoszczędzone 50 gr. wziął jako napiwek. To też w kolejnym, trzecim dniu jego służby panował po prostu raj na ziemi.

IV.

Z pośród całego rejestru szykan stosowanych tak ochotnie muszę tu wspomnieć o wyzutym z wszelkich ludzkich uczuć sposobie traktowania Żydów przez gestapowców w kaźni na Montelupich. Liczne rozstrzeliwania nie były same przez się godne uwagi, skoro równocześnie rozstrzeliwano dziesiątki i setki Polaków codziennie bez sądu, a niejednokrotnie przez pomyłkę co do imienia mordowanego. Napiętnować tu jednak muszę sadystyczne i podłe odnoszenie się do uwięzionych Żydów. Jakkolwiek szykanowano i nas, chociaż znęcano się nad nami dosadnie, przy czym policzek stał, wobec wymyślnych prześladowań, niemal na granicy pieszczoty, to jednak, gdy patrzyliśmy jak maltretują Żydów, zrozumieliśmy jak względne jest pojęcie nieszczęścia, które spotyka człowieka.

Nie brak było i politycznych sensacji i kryminalnych. Siedział równocześnie ze mną ksiądz z Jasła i dwóch oficerów. Nazwisk tych ludzi nie znam, przyjęte bowiem było nie interesować się nazwiskami współwięźniów, aby na wypadek śledztwa nie było cienia możliwości mimowolnej nawet "wsypy." Więziono tych ludzi w związku z międzynarodową aferą, dla której zainscenizowania sprowadzono, jak wieść niosła, sprawozdawców dziennikarskich.

Afera cała polegała na głoszonej przez Niemców tezie, że dowództwo polskie stosowało gazy trujące w walkach wrześniowych i że miało to mieć miejsce w Jaśle, a od więzionych żądano w "sądzie" zeznania tego pod przysięgą. Miał to być dowód rzeczowy dla tej pięknej tezy. Więzieni nie mieli nic wspólnego z aferą gazów, której zresztą nie było, a gdyby podobny wypadek miał miejsce, napewno takiej przysięgi by nie złożyli. To też osobliwie ciężki żywot mieli ci trzej. Należy przyjąć, że powiększyli oni liczbę zastrzelonych w kaźni na "Montelupich" w Krakowie.

Nie chcę być gołosłownym w opowieści mojej o mordowaniu ludzi w więzieniu wojskowym w Krakowie. Muszę przytoczyć przeto fakt widziany prawie na własne oczy. Był w Krakowie oryginał w swoim rodzaju, nauczyciel rysunków w jednym z gimnazjów, Gustaw Rogalski. Oryginał dziedziczny, ojciec jego bowiem był redaktorem, drukarzem i kolporterem w jednej osobie, czasopisma "Diabeł" i dopełniał swą niecodzienną postacią liczne grono oryginałów krakowskich z czasów przed wojną światową. Rogalski-syn posiadał duży talent rysowniczy i miał nieostrożność wydać przed wojną album karykatur Hitlera i jego pobratymczych kreatur.

Kiedy Niemcy wkroczyli do Krakowa w dniu 5 września poczęli wyłapywać pewnych ludzi, wedle przywiezionej z sobą listy. Po niedługim czasie złapano podstępem Gustawa Rogalskiego, przywieziono go na "Montelupich." Tu widziałem go na przechadzkach i ukradkiem z nim rozmawiałem. W czasie "śledztwa" powybijano mu prawie wszystkie zęby i nadłamano szczękę. Kiedy byłem już na wolności doszła mnie, podana z więzienia wiadomość, że go zastrzelono, co można było przypuszczać, gdyż był zamknięty z partią, która dostarczała najliczniejszych "pod ścianę."

V.

Do wszystkiego na świecie można przywyknąć. Po kilku tygodniach siedzenia życie ułożyło się w pewne normy. Zaprowadzono w celi ściśle wojskowy porządek dnia. Pobudka o 7, poczem modlitwa długa i codzień bardziej żarliwa. Z początku powtarzano bezmyślnie słowa starego katechety, a czasem również i zdeklarowani bezbożnicy klęcząc, modlili się gorąco, znajdując wśród słów szeptanej modlitwy czego im brakło w chwili tak niecodziennej. Następnie śniadanie.

Sposób odżywiania był — jak wszystko — w "nowym porządku" inny i oryginalny. Więzienie nie dawało nam nic do jedzenia. Zakonnice z pobliskiego klasztoru przysyłały codziennie trzykrotny posiłek, za milczącym pozwoleniem władzy więziennej. Materialnie wspomagał je w tym celu Wydział Społeczny Zarządu Miasta Krakowa.

Potem następowała nuda więzienna całego dnia, przerywana tylko inspekcjami nadstawników — kluczników oraz czasem, nieczęsto nadsyłanymi z miasta paczkami dla wybranych szczęśliwców.

Nuda robiła swoje. Taki zespół stuprocentowych inteligentów to najlepsze środowisko i podłoże dla zwątpienia i defetyzmu. Chyba z mysich dziur dobyte rozszerzały się niczym nieuzasadnione wieści. "W piątek nas zwolnią." "Trzeba jeszcze czekać dziesięć dni do zwolnienia," a potem rozczarowanie załamanej wiary. Owi niecierpliwcy nie doczekali się zwolnienia. Jednego zaś dnia, najbardziej niespodzianie przyszedł do celi ów "pies-klucznik" i wywołał moje nazwisko.

Stanęła natenczas przed moimi oczyma scena już raz przeżyta; godzina 21 — 22, w progu zjawia się dozorca. Oczy wszystkich zawisły na jego wargach; czyje imię wywołał, ten już nie ujrzał nigdy światła poranku, szedł na rozstrzelanie. Podobnie teraz władca kaźni podszedł do mnie i kazał mi zbierać swe rzeczy i przysposobić się do odejścia. Na widok pewnych zapasów jadalnych oświadczył: "Proszę to zostawić tu panom w celi, nie będzie wam już potrzebne." Nawiasem mówiąc "panowie z celi" dorzucili po cichu prośbę o pozostawienie im talii kart do bridge'a. Mnie natomiast opanował spokój i bezwrażliwość człowieka, który dobił nad brzeg przepaści i dalsza jego droga ściele się na dnie otchłani.

Na korytarzu przed biurem więzienia ustawiono piękny szereg podobnych mi delikwentów. W tej chwili zbój-klucznik przemienił się w anioła radości i oświadczył zebranym, iż jesteśmy wolni z łaski władz Gestapo. Jedynie parę formalności opóźni otwarcie krat więziennych.

Pierwszą z kolei był koncert śpiewaczy. Ów aniołek nowego ładu przedstawił nam dwu Żydów. Pierwszy z nich wysoki, przystojny, o inteligentnym wyrazie twarzy był z zawodu śpiewakiem. Wedle słów zbira siedział na "Montelupich" jako pasożyt burżujski, który usiłował przemycać poza granice "Wielkich Niemiec" obce waluty, trwoniąc w ten sposób ciężko zapracowaną krwawicę niemieckiego ludu. Nim jednak zostanie rozstrzelany — czułe słówko tak chętnie używane przez zbirów — zaśpiewa nam dwie piękne włoskie pieśni miłosne. W półciemnych korytarzach więzienia rozległy się tony, mogące każdego łacno przenieść na słoneczne San Michele. Drugą ofiarą był mały, pokraczny Żydek, chórzysta z synagogi, który zachęcony kułakami, odśpiewał dwie pieśni religijne. Było w tym obok smutku i grozy coś z "Pieśni nad pieśniami." Z kolei musieli obydwaj biec kłusem po schodach na drugie piętro.

Zakończyła wszystko ceremonia w kancelarii więziennej, gdzie wołano nas po dwóch i stawiano za warunek podpisanie "Deklaracji Gestapowej." Wezwany sięgnąłem po pióro, by podpisać ją nie czytając, mało bowiem obchodziła mnie treść tego papieru, gdyż nikt z nas nie miał żadnego zamiaru zastosować się do jego postanowień i nakazów. Uprzejmy "Czarny" zbir zwrócił mi uwagę na lekkomyślność takiego postępowania.

Przeczytałem więc. W szeregu punktów zobowiązywała ona podpisującego — to niby mnie — do wielu różnych rzeczy. Nigdy w życiu nie zobowiązywałem się do tylu i brudnych świadczeń. Ciekawy był jednak punkt ostatni. Mówił on, iż na wypadek niedotrzymania jednego z zobowiązań, a nade wszystko, gdybym komukolwiek opowiadał coś o więzieniu, nawet wyrażając się pochlebnie, zgadzam się tym samym na to, iż zostanę rozstrzelany bez sądu. Można powiedzieć inaczej; zastrzelony w drodze postępowania administracyjnego.

Nareszcie był koniec. Oddano nam depozyty i z czarującym uśmiechem na ustach rozwarto drzwi więzienia. Ścigało nas pozdrowienie: "*Auf wieder sehen!*"

* * *

Kto nigdy nie opuszczał drzwi więzienia, gdzie parodia ludzkich stosunków każe jednemu człowiekowi pilnować pozbawionego wolności bliźniego — ten nie wie, co to jest podłość ludzka. Niczyja wyobraźnia nie zastąpi zimnego, okrutnego cynizmu takiego zjawiska. Walka zaś, która używa takich środków, nie da przenigdy laurów zwycięstwa. Trwałe wyniki osiąga się jedynie krocząc uczciwą drogą.

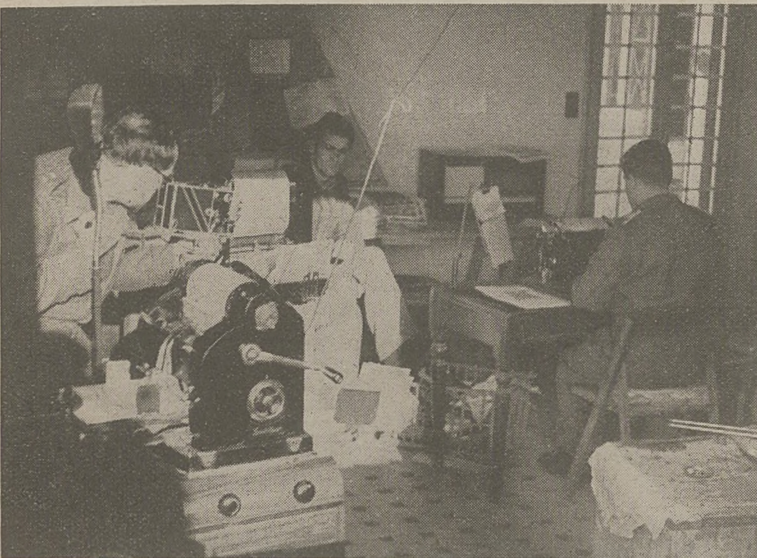
JAN KOS

Żołnierska ekipa dziennikarska

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



W redakcji "Ku Wolnej Polsce"



W "drukarni" — przy cyklostylu

Jak już donosiliśmy—Armia Polska na Wschodzie skoncentrowana została pod rozkazami gen. Andersa w Iraku. Do oddziałów W.P. ewakuowanych z Rosji dołączyły oddziały Brygady Karpackiej i Legii Oficerskiej, stacjonowane w Palestynie.

Zamieszczamy reportaż Wacława Sikorskiego, który opisuje swoje wrażenia z przejazdu czołówki Referatu Oświaty i Kultury z Palestyny na nowe "miejsce postoju" w Iraku.

Fotografie ilustrujące artykuł dotyczą zasłużonego pisma Brygady /później Dywizji/ Karpackiej. Po dokonaniu koncentracji pismo to połączyło się z tygodnikiem "Orzeł Biały — Polska Walcząca na Wschodzie," powstałym w Rosji.

W m.p. "gdzieś na pustyni"

Było to pod koniec sierpnia ubiegłego roku. Dostaję pewnego dnia rozkaz zwijania larów i penatów i udania się w daleką drogę na nowe m.p. Długa konferencja z szefem Referatu Oświaty i Kultury. Skrzętnie notuję wszelkie polecenia. Wy--daję swym ludziom ostatnie zarządzenia. Pilnuję, aby załadowano jak najwięcej sprzętu świetlicowego, zabieram co tylko mogę, by po przybyciu na miejsce przeznaczenia nakarmić strawą duchową tych, co na bezbrzeżnych połaciach Rosji przez wiele, wiele miesięcy pozbawieni byli książki polskiej, polskiego pisma. . . .

PRZEZ NIEZNANĄ KRAINĘ

Myśli tłoczą się do głowy. Przecież przejeżdżać będziemy przez nieznaną krainę, o której słyszeliśmy tylko z opowieści, przez owe tereny, gdzie kiedyś pomiędzy Tygrysem i Eufratem miał być legendarny raj. Tam doznamy nowych wrażeń. Może dane nam będzie spotkać po drodze któregoś ze starych przyjaciół, który podobnie, jak i my —tylko od innej strony świata— po długiej tułaczce po obcych krajach, przecierpiawszy wiele, śpieszy obecnie na nowe m.p., by jako żołnierz wielkiej Armii Polskiej na Wschodzie do ostatecznej rozgrywki z wrogiem się sposobić.

Żegnamy piękne palestyńskie gaje pomarańczowe, zaopatrujemy się po drodze w winogrona, arbuzy i po paru godzinach drogi wkraczamy w granice Transjordanii. Mijamy szybko dolinę Jordanu i wjeżdżamy w pasmo gór, pnąc się serpentynami, skąd roztacza się piękny widok na rzekę wijącą się długą srebrzystą wstęgą.

Na humorach nie zbywa. Zdala słychać dźwięki skocznej piosenki. To nasi w tylnych samochodach uprzyjemniają sobie dłużącą się podróż. Wreszcie o godz. 1-ej kończy się pierwszy etap podróży. Zgłodniali rzucamy się jak wilki na świetną zresztą zupę kartoflaną z kotła /dawno tak nie smakowała/ i po chwili zasypiamy pod gołym niebem snem sprawiedliwych.

PRZYGODA ZE SKORPIONEM

Rankiem nie obeszło się bez przygód. Oto jeden z kolegów ekipy redakcyjnej, zdejmując koc z łóżka polowego znajduje w nim ni mniej ni więcej tylko wielkiego skorpiona i czterdziestonóżkę.

Zbiegają się zaraz Anglicy—kierowcy naszych samochodów, wydostają bańkę, wylewają na ziemię benzynę, formując z niej niewielkie koło, do którego pakują skorpiona. Podpalają benzynę i za chwilę skorpion jak oszalały miota się w kręgu. Po paru sekundach płomienie ogarniają go całkowicie.

NAJWIĘKSZE OSZUSTWO ŚWIATA

Cóż by powiedzieć o dalszych etapach podróży, która trwała pięć i pół dnia? Dłużyła się strasznie. Kraina monotonna, bezludna, wciąż pustynia i pustynia, żadnego drzewka, gdzieniegdzie tylko skały, bądź też ciągnące się kilometrami przestrzenie, usłane gęsto kamieniami czarnymi, jak węgiel i leżącymi w taki sposób, jakby je układała ręka ludzka. Gorąco potworne, jak żar z pieca. Woda w manierkach i termosach zupełnie ciepła, ale i do niej się człek też przyzwyczaił.

Jakież było zdziwienie moich kolegów, kiedy na jednym z postojów przyniosłem im kawałek lodu /zawsze mówiłem, że trzeba mieć dobre stosunki z oficerami kasynowymi/. Oczom wierzyć nie chcieli. Dotykali palcami, żeby przekonać się, że to naprawdę lód. A cóż to była za uczta, gdy po kilkunastu minutach rozkoszowaliśmy się prawdziwie lodowatym płynem, mocno coprawda chlorowanym.

Gdyśmy przejeżdżali przez bezludne okolice pustynną drogą wśród kurzawy, pyłu i straszliwego żaru, jeden z kolegów, znany cynik, wypiwszy z manierki ostatni łyk ciepłej wody, oburzony do ostatnich granic ryknął ni stąd ni zowąd:

—To jest największe oszustwo na świecie!

Zdumieni patrzymy na niego, a on ciągnie dalej:

—No tak, to oszustwo i to jeszcze jakie! Tu miał być raj? Owa ziemia obiecana? Na tym bezludziu?—i roześmiał się od ucha do ucha.

Bardziej z historią starożytną obeznani starają mu się wytłumaczyć, że ów "raj" znajdował się w innym miejscu, paręset kilometrów stąd. To go jednak nie przekonało i nie przestawał kląć, na czym świat stoi.

"AUSTRALIJCZYCY"

Jedziemy dalej. Nagle ktoś wrzeszczy:

—Patrzcie, Australijczycy!

Oglądam się i widzę całą kompanię żołnierzy w wielkich, charakterystycznych kapeluszach australijskich. Intryguje to nas wszystkich niezmiernie tym bardziej, że opodal widnieje na wielkiej tablicy napis w języku polskim. Czytamy:

"OBÓZ PRZEJŚCIOWY"

Za chwilę do uszu naszych dochodzą słowa polskiej piosenki. To śpiewają owi rzekomi "Australijczycy."

Okazuje się, że to nasi chłopcy z jednej z dywizyj, przybyłych z Rosji. Zabrakło już hełmów tropikalnych, więc zamiast nich wyfasowali kapelusze australijskie. Wyglądają w nich doskonale. Myślę sobie: to jakby nowy dowód przyjaźni polsko-australijskiej, zadzierzgniętej już w czasie walk Brygady Karpackiej na Pustyni Zachodniej.

NA NOWYM M.P.

W niezamąconym już niczym spokoju potwornie zmęczeni, dojechaliśmy do niewielkiego miasteczka "gdzieś na Wschodzie," skąd po kilkunatu minutach dotarliśmy do jednego z obozów, gdzie ku radości wszystkich oświadczono nam, że tu zainstalujemy się na czas pewien.

Po wypiciu przynajmniej litra wody, umyciu się, odkurzeniu i zjedzeniu z apetytem posiłku, poszedłem zasięgnąć języka. Okazuje się, że i rzeka jest opodal i elektrownia, gdzie będzie można ładować akumulatory do aparatów radiowych. Melduję się zaraz u kwatermistrza czołowego rzutu, ppłk.S. i wspólnie postanawiamy, że do czasu przybycia reszty kolegów z Referatu i Sekcji pozostanę ze swoją ekipą w tym obozie, bowiem warunki pracy będą tu jeszcze stosunkowo najlepsze.

Uspokojeni już całkowicie kładziemy się do snu, by skoro świt przystąpić do zaiste pionierskiej, jak się później okazało, pracy.

W MIEŚCIE NAMIOTÓW

Nazajutrz ruszam na dalsze zwiady. W obozie ruch niebywały. Warkot motorów samochodowych miesza się z gwarem niezliczonych grup żołnierzy. Przyjeżdżają, coraz to nowe transporty. Wszyscy chłopcy w owych wielkich kapeluszach. Dokoła dalekich wzgórz jak okiem sięgnąć cały las namiotów, całe setki, może tysiące. Tyle wojska polskiego! . . .

Przed sklepami żołnierskimi kilometrowe ogonki naszych wojaków. Kupują wszystko, dosłownie co im w ręce wpadnie. Sardynki, kompoty, przeróżne konserwy, soki, suchary, owoce itd. i t.d. i dziwują się, że można to dostać, wszak tam, na dalekiej Północy, były to marzenia . . .

A cóż to była za uciecha, gdy rozdaliśmy pomiędzy żołnierzy zawartość przywiezionych ze sobą t.zw. "paczek alianckich."! Różnego rodzaju gry, warcaby, maszynki do golenia, mydła, cieszyły się wielkim powodzeniem, a czekolada, której nie widziano miesiącami, przyjmowana była z entuzjazmem. Wszystkie te dary były jednak kroplą w morzu wobec olbrzymich potrzeb. . . .

A trzeba było widzieć miny naszych żołnierzy, gdy poczęliśmy wydawać powielany na Gestetnerze biuletyn informacyjny "Ku wolnej Polsce," którego nakład skoczył po naszym przyjeździe z trzynastu egzemplarzy na 1.500. Radość powstała niekłamana wśród braci żołnierskiej, a naszej ekipie serca rosły, że "słowo drukowane" cieszy się tak wielkim popytem.

"ZAKAZANY CYWIL"

Wchodzi pewnego dnia do namiotu Referatu Oświatowego obozu jakiś starszy strzelec. Wali obcasami i melduje się z prośbą o jakąkolwiek bądź gazetę. Jakież było jego zdumienie, gdy poza biuletynem dostał egzemplarz ostatniego tygodnika "Ku wolnej Polsce" i egzemplarz "Orła Białego" i "Zewu," "Polskę Walczącą" oraz ilustrowane pisma angielskie i coś tam jeszcze. Był tym tak zaskoczony, że zamiast zasalutować, dał wyraz swej podzięce w dość oryginalny jak na stosunki wojskowe sposób: odchodząc ukłonił się jak "zakazany cywil" . . . kapeluszem. Spostrzegł się już poza namiotem, że przecież jest w wojsku, wrócił i zażenowany przeprosił za tę "cywilną pomyłkę." I już "służbowo" zameldował swoje odejście. . . .

Tegoż samego jeszcze dnia wysłałem meldunek do swego szefa, błagając go, by przysłał czym prędzej "cały wagon" wydawnictw, pism, książek, słowników polsko-angielskich, bo tu wszystko rozejdzie się w oka mgnieniu.

POWIELACZ TOPI SIĘ W SŁOŃCU. . . .

Z wydawaniem owego biuletynu nie była to taka prosta sprawa, jakby się na pozór wydawało; mimo, że i fachowi dziennikarze byli i Gestetner, i specjalista do odbioru Morse'a. . . . Następnego dnia po przyjeździe rozpoczęliśmy pracę wespół z grupą uczynnego por. P., kierownika referatu oświatowego obozu. Zakasaliśmy rękawy i wszystko zaczęło iść jak z płatka.

Po trzech dniach pech. "Morsistę" plut. B. chwyta w nocy atak ślepej kiszki i wiozą go do szpitala na operację. Strata poważna. Redaktor biuletynu strz. U. ze stoickim spokojem powiada:

—Mówi się trudno! Sami też musimy sobie radę dać.—Czego się na wojnie nie robi!

Drugi redaktor, strz. S. i sierż. pchor. S . . . ki potakują. I dali sobie radę. . . . Pracują od rana do wieczora w największym skwarze, by wysłuchać audycji, zredagować komunikat, napisać woskówki, powielić je, wyekspediować i znowu słuchać radia. I tak co dzień, co dzień mimo upałów, hamsinów i innych niezliczonych wschodnich przeciwności. . . . Sekundują dzielnie tej robocie nasze kochane panie z P.S.K., pracujące w referacie oświatowym obozu. Układają kartki, pomagają ekspediować, nie zważają na to, że ich ręce po takiej robocie wyglądają że pożal się Boże. . . .

Któregoś dnia nowy kłopot. Nasz "krętacz" na Gestetnerze kpr. C. wyrywa sobie włosy z głowy w rozpaczy, bo na tym żarze lejącym się z nieba, z farby do powielacza robi się płyn rzadki niczym woda i zalewa kartki, a równocześnie pył piaskowy wdziera się w każdą najdrobniejszą szczelinkę skomplikowanej i precyzyjnej maszyny.

Ale to jeszcze nic. Nagle rozpacz: meldują mi, że gumowy wałek od Gestetnera roztopił się dosłownie na tym gorącu i maszyna stanęła. To już katastrofa. Żołnierze gotowi nas "zlinczować," gdy nie otrzymają jedynej na tym terenie gazety—biuletynu.

Wpadam do drukarni i widzę zrozpaczonego kpr. C., który siedzi na ziemi, kręci głową i coś majstruje przy mięciutkim niczym gąbka wałku. Dla świętego spokoju już nic nie mówię, tylko czekam co z tego będzie. Majstrował tak z pół godziny, wycinał, skrobał, czyścił, aż coś zmajstrował. . . . I biuletyn—choć z opóźnieniem i w zmniejszonym nieco nakładzie ponieśli gońcy do swoich oddziałów.

Ale co dalej? Obcięty wałek będzie się nadal kruszył, a zapasowego nawet w samej stolicy dostać już nie można. Tylko siąść i płakać. . . .

Depeszuję więc do swego szefa, by natychmiast przysłał drugi Gestetner i zapasowe wałki.

RADUJĄ SIĘ SERCA DZIENNIKARSKIEJ BRACI

Czekamy niecierpliwie cały tydzień w ciągłej obawie, że robota może lada chwila stanąć. Aż na ósmy dzień przychodzi transport z Dowództwa a wśród wielu paczek znalazła się i paczka z zapasowym wałkiem.

Odetchnęliśmy, a nasz "krętacz" chodził cały dzień dumny niczym paw. Powiększamy nakład, a nasze dziennikarskie serca radują się, gdy o godz. 17-tej do namiotu, gdzie mieści się ekspedycja, ciągną całe falangi gońców ze wszystkich oddziałów, znajdujących się niejednokrotnie w odległości 14 km., po "ostatnie wiadomości z placu boju."

Robota idzie całą parą. Gwar i ruch—jak w ulu.

A kiedy wieczorem, po całodziennej pracy człowiek prostuje ramiona i zaczyna przemyśliwać o zasłużonym odpoczynku — dopiero wówczas jest czas na jakieś rozważania i refleksje.

Pustynia azjatycka . . . namiotv . . . dziesiątki tysięcy polskiego wojska . . . Polski biuletyn na pustyni . . . Kto by pomyślał!

Eh, w głowie się nie mieści.

WACŁAW SIKORSKI

"Ku Wolnej Polsce" wśród namiotów



Lektura w okopie



Bez black-outu

Dalszy ciąg reportażu z podróży po brytyjskich lotniskach w Anglii podaję dzisiaj w formie luźnych obrazków.

— — — — — — —

Nasz autobus "własny," zakupiony z funduszów Ministerstwa Obrony Narodowej, nazwany został uroczyście przez kierowcę Zygmunta "Dziadziem," a to z racji poważnego wieku wyjeżdżonych mil, które ma już dawno za sobą. "Dziadzio" chodzi wolno po Anglii, jak przystało osobom "wysoko" urodzonym w szkockim Highlandzie, ale chodzi wytrwale i wozi nas wiernie całymi dniami, często nocami.

Zygmunt rozmawia z "Dziadziem" czule, czasem tylko delikatnie wypomni mu jego poprzednie, "sportowe" zajęcia na linii: Loch Lomond—Dunoon, czy na innej wysokogórskiej szkockiej trasie:

—"Widzisz "Dziadziu" ta południowa Anglia całkiem do Polski podobna; i prawdziwa strzecha trafi się czasem. Patrz się "Dziadziu," boś nigdy tego nie widział, a musisz się przyzwyczaić. Bo, wiadomo: pojedziesz z nami do Polski."

Raz tylko "sportowy Dziadzio" był prawdziwie zgorszony, gdy na wąskich uliczkach miasta L. powitały go posterunki motocyklistów oznajmiając, że tutaj spadły bomby czasowe, wśród nich w pobliżu jedna z większych, więc należy jak najprędzej i jak najdalej . . . wyrywać. "Dziadzio" był do żywego oburzony bezczelnością niemiecką, która pozbawiła go przez całą noc dachu nad głową. Musiał biedaczysko moknąć na "parkingu" pod gołym niebem.

Przypuszczam jednak, że wyszło mu to na zdrowie. Zrozumiał, że wojna trwa w całej pełni, że Szkocja spokojna i cicha daleko, a tu w Anglii niektóre miasteczka codziennie przeżywają alarmy, ostrzeliwanie i bomby czasowe. Oczywiście wszystko to w "miniaturowym" wykonaniu pojedynczych samolotów, gdyż jak zupełnie wyraźnie obserwuje się w terenie, w tej chwili Goeringowi trudno się zdobyć na więcej.

"Dziadzio" z dumą, a może także z odrobiną szkockiej zazdrości patrzył na doskonałą postawę Anglików, którzy w tymże mieście L. ewakuowali kilka najbardziej zagrożonych domów, a w czasie trzydniowego naszego pobytu zachowali kapitalną postawę pełnego spokoju i dostojnego wyczekiwania, aż do chwili gdy obwieszczono urzędowo, że bomba czasowa przestała być groźna dla otaczających obiektów. Warto było obserwować życie w L. w ciągu tych trzech dni, by nabrać respektu i poszanowania dla . . . "dżemojadów."

* * *

Dwóch nieodłącznych kompanów ma Zygmunt prócz "Dziadzia": jeden to Marian, nasz "techniczny" od rekwizytów i dekoracji, a drugi przydzielony przez E.N.S.A. /organizuje ona administracyjnie obecny objazd/ niejaki Mr. O'Brien, mistrz ruchomej, przewoźnej sceny, świateł, pogodny Irlandczyk, były aktor charakterystyczny i śpiewak, a obecnie, jak sam o sobie mówi: "Pan Obrieński — sierżant polski."

Ta trójka rozwiązuje najbardziej zawikłane problemy społeczne, polityczne i teatralne językiem zupełnie gładkim i zrozumiałym, ale tylko . . . dla nich. Jest to praktyczny cocktail irlandzkiego "slangu" z odrobiną "włoszczyzny," z poważną domieszką rumuńskiego /Marian przed wojną długie lata mieszkał w Rumunii/ i z soczystym kolorytem nadwiślańskim, jako że Zygmunt wywodzi się z Ochoty. Jeżeli dodamy nawiasem, że "Obrieński" lubuje się w łamanej francuszczyźnie z łatwością odtworzymy sobie znakomite, nieśmiertelne dialogi tej trójki:

O'Brien: — Mariano and Sigismondo, "muskieteros" — luggage, please, s'il vous plaît /podnosi kufer/.

Marian: — Ty Obrieński, oddaj młotek pentru mine, stiu? Ja ci dam "please"!

O'Brien: — Sigismondo, tell me, what said Mariano in Polish, s'il vous plaît muskieteros?

Zygmunt: — He, znakiem tego, said you must, żebyś mu return back młotek, Ajryszu w ząbek szarpany, understand?

Ale żyją w wielkiej przyjaźni. Tylko dwaj "muskieteros" irytują się, gdy O'Brien mówi zbyt szybko i zbyt dużo po angielsku, a on znowu podejrzliwie spogląda i okazuje wielkie niezadowolenie, gdy mówią przy nim zbyt długo po polsku. Reakcja tej trójki jest bardzo charakterystyczna dla wielu innych zetknięć polsko-brytyjskich.

Ileż to razy w tej podróży, o wiele częściej niż w Szkocji, spotkaliśmy się z wyraźnym życzeniem, bardzo szczerze wypowiedzianym przez Anglików: — "Mówcie przy nas między sobą po angielsku, bo nam przykro bardzo, gdy nie możemy zrozumieć o czym rozmawiacie w naszym towarzystwie." I dlatego O'Brien jest zły i dlatego pyta: — "Sigismondo, what Mariano said in Polish?"

* * *

Na dużej stacji czysto brytyjskiej B. tak zwany "Entertainment Officer" witając nas przeprasza, że widownia nie będzie pełna, ale właśnie dzisiaj wypadły loty operacyjne. Spodziewaliśmy się tego, obserwując przy dojeździe do stacji ogromne, potężnie grzmiące w górze formacje "Lancastrów." Oficer mówi, że bardzo cieszyli się wszyscy i oczekiwali przyjazdu polskiego teatru, ale właśnie . . .

Odpowiadamy, że ta pustka na widowni będzie nam bardzo miła, bo wiadomo, że "Lancastery" nie "chodzą" już z ulotkami. Sala jednak zapełnia się całkiem przyzwoicie widzami angielskimi i "dominialnymi." Są więc: Kanadyjczycy, Australijczycy, Nowozelandczycy. Reagują żywo i bardzo serdecznie.

W mesie po przedstawieniu nawiązujemy szereg bardzo miłych znajomości. Australijczycy okupują chwilowo nasze panie, a w rozmowie ze mną zgodnie pochwalają opinię pewnego Australijczyka z Tobruku, który kategorycznie domagał się ustalenia po tej wojnie granicy pomiędzy Polską i Australią. Jeden z nich dodaje:

—"Będziemy mieli taką wspólną granicę na oceanach, bo Polska będzie po wojnie potężna na morzu. Musi być taka!"

W kąciku na stole, przykrytym czerwonym suknem leżą ofiarowane przez nas w czasie przedstawienia książki i broszury o Polsce w języku angielskim. Zebrali się przy nim Kanadyjczycy i uzgadniają wspólnie z Australijczykami kolejność wypożyczania sobie tych kilku książeczek. Mówią prosto: — "Tu na odludziu każda książka witana jest chętnie, cóż dopiero interesująca książka o Polsce."

Dzielą więc między siebie "303" Fiedlera i "Poland's freedom of the sea" — Bagińskiego, rozchwytują: "Jack'a Distributora" Majewskiego i "Does Poland matter to Britain?" — Grahama. Oficerowie W.A.F. interesują się specjalnie broszurką Lady Anstruther o kobietach polskich: "The part played by Polish Women."

Bardzo żałujemy, że nie możemy im dać doskonałej broszury: p.t. "First to fight," która może najbardziej przemawia do umysłowości Brytyjczyka przez swą plastyczność, prostotę i nowoczesność, ale wydano ją w tak znikomej ilości egzemplarzy, że dotarła tylko tu i ówdzie. A szkoda. "First to fight" trzeba rzucić masowo na stacje lotnicze R.A.F., do fabryk przemysłu wojennego, do szkół brytyjskich, do obozów amerykańskich.

Ministerstwo Informacji, które dostarczyło nam tylu doskonałych broszur w poważnych ilościach powinno koniecznie spowodować jak najszybsze rzucenie "First to fight" na szeroki "rynek" brytyjski. Chętnie podejmiemy się kolportażu. Naocznie bowiem przekonaliśmy się o poważnym znaczeniu bezpośredniego rozdawnictwa druków. Oprócz broszur rozdawaliśmy również książki, w które zaopatrzył nas obficie Wydział Prac Kulturalno-Oświatowych Min. Obrony Narodowej.

Na tym samym lotnisku w B. zapytał nas miły oficer W.A.F.: — "Czy Polska ma swój rząd na terenie Wielkiej Brytanii i czy Wojsko Polskie podlega bezpośrednio Królowi Wielkiej Brytanii?" Podkreślam zupełną wyjątkowość tego typu pytań, ale jednak . . . trafiają się one w terenie i dlatego nie można ustawać w informowaniu. Przeciwnie, właśnie w obecnym okresie czasu, należy je nasilić.

Podczas tego niezapomnianego wieczoru dokonaliśmy uroczystej, choć nieoficjalnej, "dekoracji" Kanadyjczyka, urodzonego w Ameryce z matki Polki i ojca Ukraińca. Jego dziadek Polak żył i mieszkał we Lwowie. Lwów jest miastem rodzinnym jego matki. Dawno chciał spotkać Polaków ze Lwowa ten miły czarny porucznik Ko . . . eńko /tak jest — nazwisko ukraińskie/.

Miał jedną prośbę: chce nosić na piersi polskiego orzełka, więc oczywiście jedna z furażerek naszych została natychmiast ogołocona, przy czym w czasie "dekoracji" zaśpiewano porucznikowi Ko . . . eńce polskiego marsza lotników. Z wdzięczności ten kanadyjsko-ukraiński Lwowiak z dziadka i matki Polki powiedział łamaną amerykańską ruszczyzną: — "I, ja buł we Lwowie before przed wami — przez mego dziadka many years ago . . ."

Gdy opuszczaliśmy mesę przyszła wiadomość o szczęśliwym powrocie wszystkich "Lancasterów." Wtedy jedna z "Wafek" odetchnęła swobodniej i powiedziała tak bardzo jakoś ciepło: — "O, I am really very happy." Za nami wybiegł z mesy smutny, długowłosy piękny terrier szkocki, którego pan nigdy już nie powróci. Pies pobiegł na lotnisko. On zawsze czeka . . .

* * *

Na angielskiej stacji w F. czeka nas za kulisami, uśmiechnięty chłopak. Był kiedyś w dywizjonie polskim 307 i bardzo polubił Polaków. Musiał wiele rzeczy naopowiadać o tych Polakach swemu szefowi, gdyż poczciwy sergeant przygotował w garderobach teatralnych przed każdym lustrem na talerzykach papierosy, a paniom czekoladę. Pod niektórymi stołami w garderobie męskiej ustawił potężne baterie piwa.

Był bardzo rozczarowany, gdy po przedstawieniu Anglicy musieli wykańczać za nas niektóre flaszczyny z piwskiem i otwarcie skarżył się, że dostał mylne informacje o Polakach, gdyż pod sceną miał jeszcze ukryte wielkie zapasy, w obawie, że bateria garderobiana będzie natychmiast przez nas zniszczona.

W tej samej miejscowości przyszły do nas po przedstawieniu kucharki i kelnerki z N.A.F.F.I. ofiarując 18 sh. jako datek na pomoc dla dzieci polskich w Rosji . . .

* * *

Jesteśmy w mieście, w którym urodził się i umarł William Shakespeare. Dostojny Stratford-on-Avon przeżywa teraz wielką tragedię szekspirowską: huczą po jego wąskich starych uliczkach ogromne amerykańskie samochody ciężarowe, w powietrzu czuć benzynę, a czerwona cegła schronów kłóci się z patyną renesansowych domków.

Jak "Sen nocy letniej," nocy pokojowej brzmi dzisiaj napis: "Wszelkie środki lokomocji do wynajęcia. Dowozi się do wszystkich miejsc pobytu Williama Shakespeare'a." Nie dowozi się, bo jest "scarce" z "petrolem." Gdy minie ta nie-szekspirowska "Burza" wojenna, gdy odzyskamy znowu nastrój do przejmowania się tragedią Romea i Julii, gdy pytanie Hamleta: "Być albo nie być" przestanie dźwięczeć nam w uszach odgłosem syren w cichym miasteczku angielskim, wtedy Stratford nad Avonem wróci dopiero do życia. Teraz wygląda jak stare, opuszczone letnisko, w którym ktoś nagle zbankrutował, a nowy właściciel jeszcze nie przyjechał.

Na jednym z przedsiębiorstw samochodowych pozostała z pokojowych czasów tablica: "Shakespeare's Garage." Zastanowić ona musi Polaka. Jakby to brzmiało w Wilnie? — "Garaż Adama Mickiewicza"? Nie, nie, ukamienowali by właściciela garażu, roznieśli by budynek razem z fundamentami.

Uprzejmy, przypadkowo spotkany obywatel stratfordzki prowadzi nas do szkółki, w której wstępne nauki pobierał mały William, do uroczego domku, gdzie się urodził i nad Avon, do nowoczesnego teatru szekspirowskiego. Chodzi z nami po Stratfordzie i w opowieści stara się przywrócić dawny urok miasteczka.

Zatrzymujemy się przy wielkiej tablicy pamiątkowej. W tym miejscu, po powrocie z Londynu z objazdów teatralnych ze swoją trupą, wybudował sobie ongiś piękny dom William Shakespeare. Dom spłonął dawno. Był podobno dostatni. Przechodzień podkreśla, że Szekspir był wówczas bardzo zamożny. Nasz O'Brien wzdycha dwuznacznie: — "Jakie szczęście, że Szekspir nie pracował z E.N.S.A.! Napewno z objazdów nie zbudowałby domu w Stratfordzie."

W szekspirowskim miasteczku nad Avonem poraz pierwszy w swej karierze nasz "Dziadzio" wjechał na . . . "kocie łebki." Tak, tak. Na nasze autentyczne polskie, wileńskie czy lwowskie — jakie chcecie — "kocie łebki." Zatrzęsło nim jak w febrze, nam zadrgały zęby. I prawie każdy zapytał: —"A to co się stało"? A to były po prostu tylko . . . "kocie łebki." One się nie zmieniły. To my przez trzy lata odwykliśmy od takich dróg. Po prostu zapomnieliśmy.

Pożyteczna obserwacja. Myślę, że warto na chwilę wjechać na gorszy bruk, żeby ją zdobyć. A więc szukajcie "kocich łebków" i . . . przyzwyczajajcie się stopniowo. Przyznaję, że to w pierwszej chwili robi piorunujące wrażenie. A po tym zastanawia. A po tym daje okazję do myślenia . . .

Zygmunt powiedział do "Dziadzia": — "Ty się nie rzucaj i nie podskakuj, bo w Polsce, znakiem tego, będziesz często jeździł na takich okrąglakach. Niech mnie drzwi ścisną. Musisz spuścić z tonu! Samym asfaltem się nie jeździ, szanowny panie! . . ."

"Dziadzio" zamyślił się poważnie i jęknął rurą wydechową.

WIKTOR BUDZYŃSKI

POSZUKIWANIA

Osoby, które się zetknęły na terenie Rosji lub Iranu z **JADWIGĄ BATKO** ze Lwowa, proszone są o łaskawe przekazanie informacji pod adresem: Stanisław **BATKO**, 83, Mortlake Rd., Kew, Richmond, Surrey, England.

* * *

Kto z Polaków przybyłych z Rosji może udzielić mi informacji o moim ojcu: **A. ZYLBERSZLAKU**, z zawodu fotografie, pochodzącym z Sosnowca, a ostatnio zamieszkałym w Chorzowie. Po wybuchu wojny zbiegł do Lwowa, a następnie został ewakuowany w czerwcu 1940 r. wgłąb Rosji.

Miał się znajdować w Krasnouralsku przy wyrębie lasów. Osoby mogące udzielić informacji proszone są o łaskawe zwrócenie się pod moim adresem: **LEO SILVER**, Box 452, **BULAWAYO**, Southern Rhodesia, Africa.

Wszelkie koszta z podziękowaniem pokryję.

* * *

ADAMA KRÓLIKOWSKIEGO rodem z Krakowa, syna **STEFANA** i **OTYLII**, studenta Politechniki lwowskiej poszukuje **JERZY**. Zgłoszenie do Admin. Pol. Walczącej.

* * *

P. Bogusław **MIERZWA** proszony jest o podanie swego adresu do redakcji.

* * *

Roman **KROCHMAL**, 39, Centre Str., St. Catherines, Ont., Canada — poszukuje brata: Piotra Krochmala ur. 1908 wieś Słaboszów, gmina Nieszków, powiat Miechów, woj. Kieleckie.

Osoby mogące udzielić jakichś informacyj proszone są o przekazanie ich p. Romanowi Krochmalowi.

ZWIĄZEK ARTYSTÓW SCEN POLSKICH GNIAZDO LONDYN

Zarząd Z.A.S.P-u Gniazdo Londyn zawiadamia, że Pan Minister Obrony Narodowej zezwolił na należenie do Związku Artystów Scen Polskich artystom odbywającym czynną służbę wojskową /pismo Szefa Gab. Nacz. Wodza i Min. Obr. Narod. L.2253/GM/42. z dn. 30.XII.1942./

Obecny adres Związku: 45, Belgrave Square, London, S.W.1. tel. SLOane 4755. — Dyżury we wtorki i piątki od godz. 14-17.

JANAS Bolesław, 34, Belgrave Square, London, S.W.1, prosi uprzejmie osoby posiadające wiadomości o p. Irenie Szewczuk wywiezionej ze Lwowa do Rosji /Kazakstan/ o podanie ich pod powyższym adresem. Prasę polską na Bliskim Wschodzie i w Rosji uprzejmie uprasza się o przedruk.

* * *

Koło Opieki nad Żołnierzem /7, Greenhill Gardens, Edinburgh/ poszukuje:

1/ Stanisława **GEMBAROWICZA** ur. 1896, dla którego posiada wiadomości o żonie i córce,

2/ M. **GRUNA** b. żołnierza Brygady Podhalańskiej, do którego ma list od J. Grün.

V. Przewodnicząca
E. Maszadro

Z życia obozów

Ack-Ack jedzie na poligon

TAJEMNICE POLIGONU I "RĘKAWA"

Wielce tajemnicze słowo, ten poligon. Już w Polsce było otoczone bogactwem tradycji, nadzieją i . . . strachem. Na poligonie działy się przeważnie rzeczy okropne i czasem, czasem tylko szczęście spływało na baterię, dowódcę, zjawiała się beczka piwa i wszyscy chodzili bardzo nadęci. To było wtedy, gdy zleciał rękaw.

Rękaw to znowu cała masa wspomnień i westchnień. Do tego kawałka jedwabiu rozciągniętego na obręczach modliły się nieomal pokolenia kanonierów, o jego nieuchwytności rozmawiali w zaufaniu starzy, otrzaskani podoficerowie, a oficerowie robili zakłady. Co tu dużo mówić — rękaw to była legenda. Poza tym bestia kapryśna — potrafił nagłą zmianą wysokości ominąć rozpryski najlepiej wyszkolonej baterii a wpakować się lekko i leniwie w czarne kłębki wybuchów najgorszej obsługi. Gdy spadał, czynił to po dłuższym namyśle, dość sprawiedliwie nawet podarty strzępek, witany w swym kuziemnym locie błyszczącymi oczami i od radości jasnymi twarzami.

Poligon odbywał się zawsze w czerwcu pod koniec rocznego wyszkolenia. Na suchym piasku, wśród kępek nędznych krzaków stawiały swe działa wszystkie polskie dywizjony i przez dwa tygodnie walczyły w turnieju długie, zielone lufy dział, sadząc grzybki ciemnego dymu na czerwcowym poleskim niebie. Pamiętam poligon ostatni. P-11 ciągnął rękaw na sześciu kilometrach—rękaw był mały, malutki, znikał co chwila w rozedrganym powietrzu, biała plamka w błękicie.

PRÓBA WRZEŚNIOWA

A potem zaczęła się wojna. Niebo roiło się od celów, tym razem prawdziwych, szły trójkami pewnie, spokojnie, dokładnie. Artyleria robiła co mogła, siała swe rozpryski pomiędzy śliczne sylwetki powietrznych morderców, rozsuwała je, zrzucała nawet czasem pięknym, precyzyjnym obłoczkiem wybuchu, ale samoloty leciały dalej, wychodziły z zasięgu a potem nie było już nowej baterii, która by objęła pracę i gnała je dalej, celnie, bezlitośnie. Dział było tragicznie mało.

I lotnictwo królowało, dywizjony latały zwartymi stadami, bombardowanie było celowe i skuteczne. Od pierwszego do ostatniego dnia trzaskały salwy baterii, ślizgały się lufy miarowym odrzutem, otwierało się coraz nowe skrzynie i coraz nowe żółte granaty rwały w górę. Lotnictwo jednak wygrało. Kanonierzy rozbijali swe działa, wrzucali do rzek i nieliczne wywieźli z kraju.

NA DROGACH DO NOWEGO POLIGONU

Kanonierzy byli rozrzuceni po świecie i ze zdziwieniem oglądali samoloty rumuńskie, węgierskie i jugosłowiańskie. Nie zrzucały bomb, nikt do nich nie strzelał i warczały sobie jakoś przyjaźnie i dobrotliwie. To było naprawdę dziwne. Pomyśleć, że tam sto czy dwieście kilometrów dalej inne samoloty obracały miasta w perzynę i krzewiły religię bezradności i strachu.

Zaczęli tęsknić do tamtych samolotów. Gdy byli już we Francji i mogli je oglądać tylko w sylwetkach — długie krople "He 111," kijki "Dornierów" i drapieżne linie "Junkersów" — myśleli, że chyba przyjdzie ich godzina. Przy paru starych działach francuskich ładowali, ćwiczyli, wyliczali nowe sposoby strzelania. Na próżno. Gdy tamci przylecieli, nie było można strzelać. Działa odebrali Francuzi, podpisany był już *armistice* i zostawało tylko jechać z Anglikami.

"PIECHOTA PRZECIWLOTNICZA"

Może będą oni mieli działa. Anglicy dział mieli bardzo mało. Dobre były, duże i solidne, ale mało. Coś tak jak u nas. Wobec tego musieli sobie przypomnieć karabin, kopali dołki w piasku, jakieś umocnienia, bagnet na broń, placówki. Z wielkim niesmakiem zrobiła się z przeciwlotniczej — piechota.

Trwało to bardzo długo. O wiele za długo ich zdaniem. Czasem udało się kilku wyjechać na kursy, byli tacy szczęśliwcy, którzy strzelali z Anglikami w *Battle of Britain*, ale to garstka tylko. Po przyjeździe opowiadali. Działa się na ogół podobały, reflektory nie bardzo, poza tym było coś nowego i tajemniczego a co dopiero potem wykluło się jako radiolokacja. Na razie była to jakowaś budka na kurzej stopce, która zawsze wiedziała skąd nadleci "Jerry."

Wiele było niedowierzania i cała masa krążyła kawałów. Bo po raz pierwszy technika radiowa wepchnęła się tak bezczelnie do artylerii. Strzelać radiem? Trochę to wszystko wyglądało podejrzanie. Ze strzelaniem wiązało się zawsze pojęcie lufy, pocisku, ostatecznie przelicznik cykał i liczył, ale delikatne lampy radiowe — toż to zaraz pęknie, a pył się rozleci. Ale do tego też się trzeba było przyzwyczaić, chociaż Bogiem a prawdą szło to niektórym niesporo.

Tymczasem tłukło się dalej piechotę. Uzbrojenie poprawiało się stale, przychodziły *Tommy-guny*, moździerze, żołnierze traktowali to jakby poważną zabawę, coś w rodzaju balu maskowego. Niby, oczywiście służba, ale to nie ich fach. Oficer od zajęców załamywał ręce. "Nigdy piechotą nie będziecie." Bo też nikt być nie myślał.

Aż pewnego dnia jesiennego fałszywa piechota zajęła sobie mały lasek i rozbiła tam namioty. Lasek był marny, od deszczu wcale nie zasłaniał, lała się woda po przegiętych, mizernych konarach, zmiękczała gliniastą ziemię i robiła z niej tłuste, klejące się ciasto. Niedaleko stała angielska bateria przeciwlotnicza, działa zakryte siatką, małe zielone baraki, betonowa dróżka i napis: "Wstęp wzbroniony." I tak jakoś, przez grzeczność gospodarzy, bateria zaczęła chodzić do tych dział.

WRESZCIE . . . POLIGON

Najpierw nieśmiało, słuchali tylko, potem okazało się, że nie ma działa i nie ma przelicznika, którego nie można było by pokręcić, uruchomić i w sprawną zamienić maszynę. Anglicy /Szkoci właściwie/ patrzyli na to wszystko przyjaźnie, ale z lekka w protekcyjny sposób. Wyczuwało się opinię: "Bawcie się, bawcie — zobaczymy co z tego wyjdzie." W końcu wyproszono poligon. Że myśmy już wyszkoleni, że dalsze ćwiczenie to tylko strata czasu i t.d. Naprawdę to dużo jeszcze brakowało, ale nazywało się — bateria gotowa.

Poligon przywitał nas deszczem — ołowiane niebo, strugi wody i wiatr, wiejący jakby ze wszystkich stron, wnikliwy, przejmujący. Półwysep, otoczony grzywami fal, po których wiatr przerzucał welony piany i roznosił bryzgi po obozie. Przeraźliwie wilgotno. Dopiero po paru dniach zrobiło się możliwie, chociaż dalej gnały jeszcze po niebie poszarpane chmury. Przyleciał samolot. Był szybki, podobno budowany jako nurkowiec, skończył swą karierę w kieracie poligonu. Rękaw był inny, niż w Polsce, biało-czerwony i nie rękaw, ale szmata wyciągnięta na kijku jak sztandar. Ale nazywa się rękaw, żeby nawet do rękawa nic a nic nie był podobny. Tradycja.

"CEL — RĘKAW"

Więc też trzeciego dnia krzyk okropny: "Cel — rękaw za samolotem." Anglicy załamali ręce. Dla przedwojennych jeszcze instruktorów najmniejsze odstępstwo od drillu, czegoś nienaruszalnego, było straszne. A tu — świat się wali. Wszystko odwrotnie. Ruch przy dziale, ale zabiegają nie od tej strony, nie tą ręką.

—*Stop, please STOP*!

Wysłuchali ze skruszonymi minami, kiwali głowami pracowicie, świetnie rozumieją, oczywiście, *Okej*. W porządku, strzelamy. Na razie spokój, dużo nieznajomych słów. Instruktorzy słuchają: luneta widzi, dalmierz widzi, pierwsza wysokość — spokojnie. Ale potem już szybciej — położenie zgrane, przelicznik ustalony. I bardzo szybko — seria, zapalnik 13. Teraz już nie można zatrzymać. Regulamin leży w gruzach, zapalniki idą jeden za drugim, ognia! pal! i znowu ognia! Ledwo coś słychać. Działa walą zawzięcie, buczy już w uszach a ciągle tylko ognia! ognia! i ognia! Dopiero opadła czerwona chorągiew "*Safety Officer'a*." Długi gwizdek — cisza.

rys. Jędrzej Lipiński

Główny Instruktor odetchnął. Zbierali długie, odymione łuski. Zbiórka. I łagodnie jak do dzieci. Że źle. Właściwie wszystko źle. Ale mówił to bez przekonania, jakoś nieśmiało. Bo strzelanie było dobre. I chociaż można było wszystko nieomal powiedzieć, to nic nie mógł powiedzieć na ten dziwny, radosny zapał, który ogarnął wszystkich kiedy gonili, ładowali, i te: Ognia! Ognia! Ognia! — były zbyt pełne determinacji, aby można było z czystym sumieniem powiedzieć, że strzelają źle. Tym bardziej, że strzelali dobrze. Bliskie strzały, skupione, dobre.

Na drugi dzień było jeszcze lepiej. Przynajmniej już łapią prawidłowo. Chcieli im zrobić przyjemność. Niech mają. Ale znowu to dziwne rozgrzewanie się baterii przy strzelaniu, to niespotykane naładowanie atmosfery nienawiścią. Oni są naprawdę wściekli na ten rękaw, twarze mają czerwone z zacięcia, oczy złe i wtedy nic już nie słuchają. Ognia! Ognia! Ognia!

PRZESZŁOŚĆ WRACA

Ale Główny Instruktor nie wiedział, że ten rękaw to symbol. To nie kawałek jedwabiu tam leciał, prosto i szybko między chmurami. To była cała ich przeszłość, trzy lata bogate w zdarzenia, pełne oczekiwania, naprężenia, nadziei. Oni nie strzelali do RĘKAWA, strzelali jakby do wszystkich samolotów skupionych w jedno, strzelali właściwie do fikcji, do czegoś nieuchwytnego. I to, że strzelali znaczyło, iż będą strzelali, iż będą mogli coś robić. Namiastka może, ale to już była akcja.

Jest jakaś nić wiążąca słowa. Te same słowa krzyczane najpierw w czerwcu każdego roku a potem wyschniętym gardłem we wrześniu, to samo położenie zgrane, przelicznik ustalony, wracały całą przeszłość, wyzwalały ją silniej niż wszystkie pogadanki, wspomnienia. Były same przeszłością, przenosiły ją na ten ochlapany falami, skalisty brzeg Szkocji.

Pierwszy zrzucony rękaw przyjęli wybuchami szalonej radości. Czekali na następny, niecierpliwili się co ten pilot robi, pewno poleciał na *tea*. Drugiego dnia poszły wdół dwa następne rękawy, strzelanie szło coraz lepiej, instruktorzy wybaczyli zły regulamin, dowolności obsługi. Podobało się. Dostali działa.

Dziś jesteśmy znowu na poligonie. Inaczej jest tym razem. Obóz jest ten sam, wierzyć się nie chce, że rok upłynął. Tu jest wszystko tak samo. I tak samo leje. Ciągle, ustawicznie. Przywitali nas jak starych przyjaciół, przypominali sobie, krztusili się, prychali, ale dopięli swego.

—"*What was it*? OGNYA, OGNYA, ZAPALLNIK."

Pamiętali. Przygód też było trochę. Przeszliśmy na nowy sposób ładowania. Ręcznie. Dawniej wpychało się nabój ciągnąc sznurem. Teraz idzie to szybciej. Ale ładowanie jest niebezpieczne. Jeden uciął sobie nawet palec, coprawda nie przy ładowaniu, ale w każdym razie w operacji z zamkiem. Odtąd każdy uważał podwójnie i ładowanie kulało.

KARIERA ZDZISIA

Tu wchodzi na arenę Zdzisio. Zdzisio był zawsze kopciuszkiem baterii. Używali sobie na nim wszyscy ile wlezie, bo nigdy się nie odszczekiwał, zawsze poza tym niedosłyszał, przeważnie był ostatni a wiadomo, że ostatni zawsze zbiera burzę. Myślał sobie zawsze powolutku a od czasu do czasu wypowiadał mądre zdania, które potem tygodniami krążyły po baterii. Nazywano go Zdzisio Filozof, albo lepiej jeszcze . . . Sokrates, przy czym przymiotnik nie był bynajmniej dla Sokratesa pochlebny. I samo to, że Zdzisio ma coś z jakimś Sokratesem wspólnego, było jeszcze lepszą dla całej baterii zabawą.

Trwało to wszystko do tego ucięcia palca. Kiedy w działonach zaczęło ładowanie szwankować, najdziksze pomysły mogą wpaść do głowy zrozpaczonemu działonowemu. Wybrał Zdzisia na ładowniczego. I tu zaczęła się Zdzisiowa kariera. Już na następnym strzelaniu okazało się że jedno działo strzela szybciej. Prawie dwa razy tyle pocisków na jednym przelocie. Zawołano działonowego. Kto ładuje. Zdzisio? Nikt nie chciał wierzyć. Niemożliwe.

Ale to była prawda. Działo waliło mu nad uchem, olbrzymi blok zamkowy przelatywał tuż koło Zdzisiowej głowy, a on spokojnie, bez nerwów, ładował do dymiącego brzucha armaty nowy granat, odskakiwał, odpalał. Gdy jego działo nadal oddawało po dziesięć strzałów, a inne ledwo wydoliły sześć — bateria uznała Zdzisia. Jest teraz benjaminkiem. Każdy działonowy, jak dawniej się bronił, tak teraz chce go mieć. On nie zwraca na nich uwagi. Ładuje, uchyla rękę przed rozpędzonym zamkiem, odbiega, odpala i spokojnym uchyłem unika masy metalu lecącej na niego w odrzucie. Jest niedościgniony.

DOBRY DZIEŃ

Wszystko idzie spokojniej w tym roku. Wczoraj było całkiem ładnie. Przyjechał generał, jakiś ważny, bo pełno było mniejszych szyszek koło niego. Strzelanie było właśnie nie najlepsze, jedno działo stale się rozpoziomowywało i sadziło swoje pociski grubo za nisko. Ale jak tylko generał odjechał było od razu inaczej.

Strzelano z nastawnicą a potem nastawnica się rozregulowała, małe zamieszanie, zapalniki nastawiane kluczem, ostatnia seria, bardzo długi zapalnik i nikt jakoś nie zauważył, że rękaw sobie leci już prosto wdół. Było to pod słońce. Zobaczyli go dopiero wtedy jak już dolatywał do wody. Chlupnął sobie jeszcze i zniknął.

Zadowoleni czekali na następny. Leciał dość wysoko, wszedł w zasięg, sekcja widzi. Zapalnik, ognia. Ładowali już drugie pociski, ale już nie było po co. Otoczony rozpryskami rękaw zachwiał się a potem spokojnie dał nurka i szorował do morza. Dwa rękawy. To się nazywa dobry dzień.

Dzisiaj znowu jest ślicznie. Rękaw idzie w rozsłonecznionym błękicie, mały, wyraźny, bateria łupie równymi, celnymi salwami. Łapią go na nowym przelocie.

JĘDRZEJ LIPIŃSKI

Ich Poetyckie Wysokości . . .

Tytuły nie są dziś modne. Jednak, że to wielkość serc i szlachetność umysłów nie przynoszą w hierarchii wojskowej żadnych stopni, niech mi będzie wolno tak zatytułować publiczne wystąpienie sześciu poetów żołnierzy. W drugim z kolei wieczorze PEN Clubu w dniu 11 lutego b.r. uczestniczyli: Bogumił Andrzejewski, Ryszard Kiersnowski, Józef Miłobędzki, Paweł Moskwa, Jan Rostworowski i Halina Terlecka. Zagajał Antoni Bogusławski, słowo wstępne powiedział Tymon Terlecki.

Wieczór był dowodem, że niekoniecznie wszystko na tej emigracji dzieje się pod znakiem dążeń poziomych i szczebli sztucznych. Jak to powiedział Tymon Terlecki — natchnienie pozostało czynnikiem decydującym w walce o byt narodowy. I pozostanie, na przekór manekinom. Na szczęście — żywych i czujących jest i będzie zawsze więcej. To właśnie uratuje Polskę.

Szkoda, że tak niewielu polskich obrońców Londynu udało się na ten mały Parnas młodzieży poetyckiej. Tyle się mówi — i tyle mówi nietrafnie — jaka będzie ta nasza przyszła Polska. A tu przecież jest odpowiedź, bynajmniej nie połowiczna nawet. W ujęciach poetyckich Andrzejewskiego i Kiersnowskiego, w przeżyciach sowieckich Terleckiej, w powietrznych i morskich kursach Miłobędzkiego i Moskwy . . . A gadulstwo poetyckie — w najlepszym sensie tego "gadulstwa" — u Rostworowskiego — toż w tym jest cały nasz program kulturalny! Będzie komu prowadzić myśli i dążenia. Wieczór PEN Clubu dał mi może najpiękniejsze wrażenia z całego naszego dorobku w Anglii.

Pod względem formy wszystko, co nam odczytano, stało na dużym poziomie. Cechą wszystkich poetów była głęboka szczerość, wyrażona w bardzo czystych liniach. Były wiersze znane i nowe. Były nazwiska już głośne i dopiero wpływające na zdaleka idącej fali natchnienia. Ale całość — szlachetna treścią i formą.

Dlaczego zatem takie ożywcze wieczory nie miałyby się odbywać w oddziałach i jednostkach? Niech — prócz świetnej "Lwowskiej Fali" oraz innych czołówek — także i młodzi poeci choć raz wyjadą do centrów, dookoła których jest wiele polskich oddziałów. Wystarczą trzy lub cztery takie występy, aby napoić żołnierzy treścią, której właściwie każdy z nas łaknie, jak chleba. Polakowi trzeba poezji, a żołnierzowi polskiemu dziś — wiele dobrej i żywej poezji. Na odtrutkę. Na siłę.

Ich poetyckie a żołnierskie moście mają tej naszej witaminy "P" wiele do rozdania.

WÓJT

Pomoc dla Polaków w Rosji: £7,609

Dear Sir,

Will you find enclosed the sum of £43.0.9 for the relief of Polish children in Russia. We received this gift from the following stations during our performance of "Polish Panorama":

1.8.II.	R.A.F. No.	£5.17.1
2.10.II.	R.A.F. Ea.	£3.19.4
3.11.II.	A.	£6.11.1
4.12.II.	A.	£6.14.6
5.13.II.	A.	£7.12.4
6.14.II.	F.	£8. 6.2
7.15.II.	B.	£4. 0.3
	Total	£43. 0.9

Polish Forces Theatre "Lwowska Fala"

* * *

Kochany Redaktorze,

Przesyłamy w załączeniu kwotę £43.0.9 zebraną z okazji przedstawień "Polish Panorama" na pomoc dla dzieci polskich w Rosji. Prosimy o przekazanie gorących podziękowań Dywizjonom Myśliwskim: Toruńskiemu, Krakowskiemu i Dęblińskiemu, oraz Oficerom i Szeregowym pociągów pancernych w A . . . i F . . . za pomoc w zbiórce i ofiarność na ten doniosły cel.

Czołówka Teatralna "Lwowska Fala"

* * *

Enclosed please find Money Order for £8.0.0 kindly given through Mr. Cameron, Hon. Treasurer, by the Abernethy Sub-branch of the Scottish Polish Society, to the Polish Red Cross for the Aid to Poles in Russia.

Senior Education Officer Polish Forces P/90

* * *

Enclosed please find £3 kindly given by Mr. and Mrs. James Baird, 11, David Street, Kirkcaldy, to the Polish Red Cross for the Aid to Poles in Russia.

Kpt. J.M.

* * *

Pluton szturmowy 2. Batalionu Strzelców przesyła "Money Order" na kwotę £20.0.0 /słownie dwadzieścia £/ z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji—jako dochód z urządzonej zabawy.

Dowódca kompanii /por. A.P./

* * *

Przy niniejszym Świetlica Kwatery Głównej I. Dyw. Panc. przekazuje £5.0.0 /pięć/ z zabawy na Pomoc Polakom w Rosji, z prośbą o wzmiankę w "Polsce Walczącej."

Z poważaniem

Alicja Śl., świetliczarka

Szan. Redakcja "Polski Walczącej,"

Pragnę za pośrednictwem Redakcji złożyć serdeczne podziękowania Czołówce Lotniczej za przedstawienie odegrane u nas 3.I.43.

Gdy będą mieć jakiekolwiek trudności w urządzaniu podobnych przedstawień, lub nawet będą czuć zmęczenie lub zniechęcenie, niech pamiętają o wpływie jaki mają na nas wszystkich. Rezultat Ich trudów jest duży i wielu z nas czuje wdzięczność za to co od Nich otrzymujemy. Ponieważ podczas zbiórki nie miałem możności wziąć w niej udziału, więc obecnie załączam P.O. na sz.10 na cel pomocy Polakom w Rosji.

Z poważaniem

R.W.

* * *

Przesyłam sz.10 /słownie sz. dziesięć/ na pomoc dla Polaków w Rosji zamiast "drinką" dla kolegów z okazji imienin.

Z wysokim poważaniem

Romuald Brzeziński

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Z okazji imienin p. ppłk. Aleksandra J. b. D-cy 20 pp. w Z.S.R.R. — dołączony M.O. na £18.10.0 — z przeznaczeniem dla dzieci i sierót w Rosji — przesyła

Grono Oficerów b. 20. pp.

* * *

N.N. na pomoc Polakom w Rosji sh.2 d.1½.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £99.2.10½ /słownie dziewięćdziesiąt dziewięć funtów, dwa szylingi, dziesięć i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £7,609.8.4 /słownie siedem tysięcy sześćset dziewięć funtów, osiem szylingów i cztery pensy/, 108 pesetów hiszpańskich, 28 dolarów kanadyjskich, 4 dolary amerykańskie i 15 czerwieńców.

DLA JUNAKÓW

Szanowna Redakcja,

Na ręce Szanownej Redakcji przesyłam 30 szylingów z prośbą, aby Redakcja 10 szylingów przeznaczyła na rzecz pomocy Polakom w Z.S.R.R. 10 szylingów na pomoc naszym jeńcom będącym w niewoli w Niemczech, oraz 10 szylingów na rzecz pomocy naukowych naszym Junakom na Bliskim Wschodzie.

Łącząc wyrazy szczerej sympatii i szacunku dla "Polski Walczącej" kończę.

J.G.

NA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam kwotę 10 szylingów na jeńców w Niemczech.

strz. P.M.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z art. "Ocalone ziarna," druk. w "Polsce Walczącej" przesyłamy 25 książek polskich i angielskich dla Junaków przebywających przy naszej Armii na Środkowym Wschodzie.

Ekspozytura Wydz. Prac Kult. Ośw. M.O.N. w Edinburgu

Zał: St. Wyspiański: "Wesele." — "Nowa Polska." — J. A. Teslar: "Angielsko-Polska książka dla żołnierza." — Zofia Kossak-Szczucka: "Skarb śląski." — Roman Górecki: "Z moich wspomnień o Józefie Piłsudskim." — "12 maja 1935." — Antoni Błoński: "Wracamy nad Odrę." — "Obrona Warszawy." — Wilfrid Thorley: "A Primer of English for foreign students." — "The poems of Robert Browning, 1842-1864." — T. W. MacCallum, M.A.: "Nauka angielskiego szybko, łatwo i przyjemnie." — "Readers Digest," October, 1941, January, 1942, February, 1942, September, 1942, August, 1942." — "The English Digest," September, 1942. — C. K. Ogden: "Basic step by step." — C. K. Ogden: "The basic way to English" /część 1, 3 i 4-ta/. — Oliver Goldsmith: "The Vicar of Wakefield." — A. J. Cronin: "The Citadel." — J. G. Hides: "Papuan Wonderland." — Antonia White: "B.B.C. at War."

P. J. Walter przesłał dla żołnierzy polskich na Wschodzie:

Ewa Curie: "Maria Curie." — Bolesław Wdały: "Niemcy w Polsce" /2 egz./. — Adam Mickiewicz: "Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego." — Stanisław Wyspiański: "Wesele." — Tadeusz Kiełpiński: "Ku jakiej Polsce idziemy." — Stanisław Kato: "Prawdziwe oblicze hitleryzmu." — Stanisław Mackiewicz: "Historia Polski 1918-1939." — Stanisław Ordon: "Łuna nad Warszawą."

Szanowny Panie Redaktorze,

Na apel P. Stefana Żurowskiego, wystosowany za pośrednictwem Redakcji "Polski Walczącej," przesyłam w załączeniu następujące książki przeznaczone dla żołnierzy polskich na Średnim Wschodzie:

"Historia Polski" — W. Sobieskiego,

"Niemcy w Polsce" — B. Wdały,

"Walka Narodu Polskiego o byt" — St. Szczepanowski, oraz 2 egz. mojej książki p.t. "Wracamy nad Odrę"

Z żołnierskim pozdrowieniem

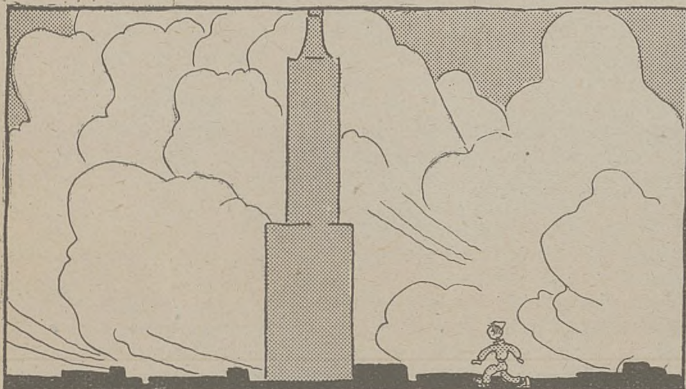
Antoni Błoński

Bezimiennie:

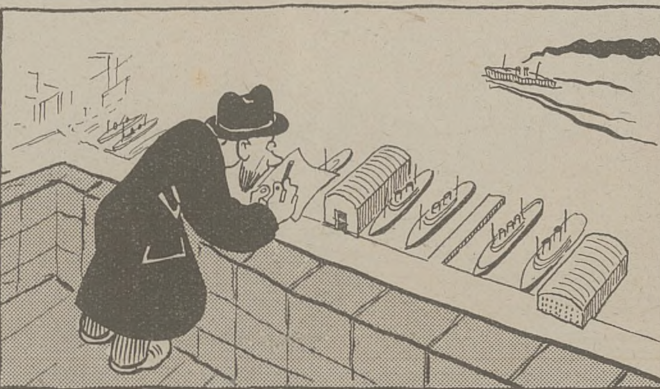
"Nowa Polska." — Tygodnik "Co słychać" 3 egz. — T. W. MacCallum, M.A.: "Nauka angielskiego szybko, łatwo i przyjemnie" 2 egz. — Stanisław Ordon: "Łuna nad Warszawą." — F.S.: "Między Marną i Loarą." — "Bomber Command Continues."

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

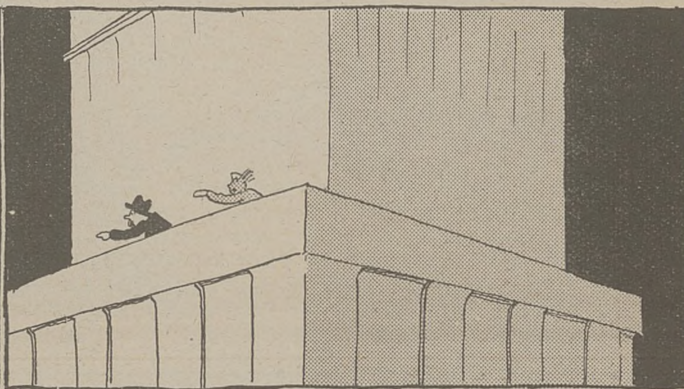
Tekst: RYSZARD POBÓG *Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ*



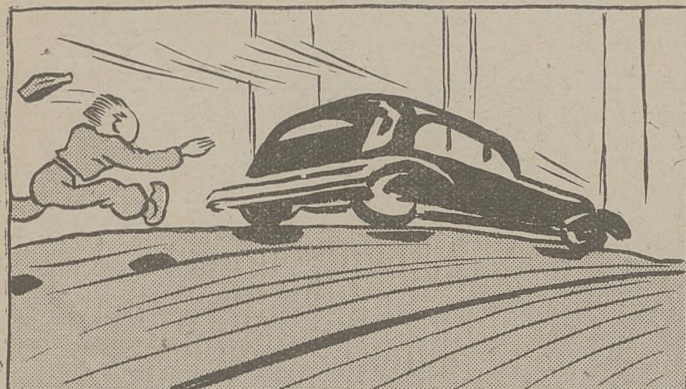
Każdy dobry turysta,
Nie oferma lub frajer,
Zwiedzić musi w New Yorku
Stupiętrowy "Empire."



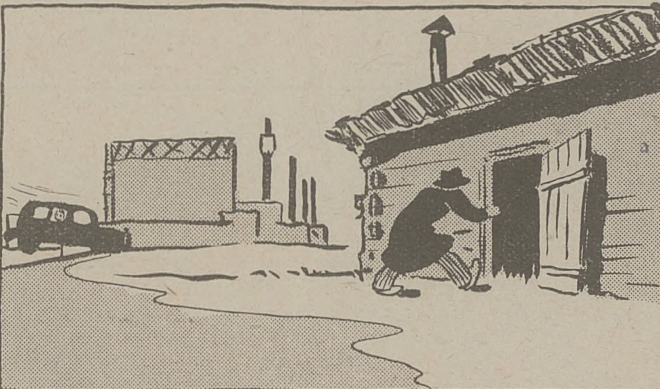
Gdy Walkowi troszeczkę
Zakręciła się głowa
Spostrzegł obok faceta,
Który statki notował.



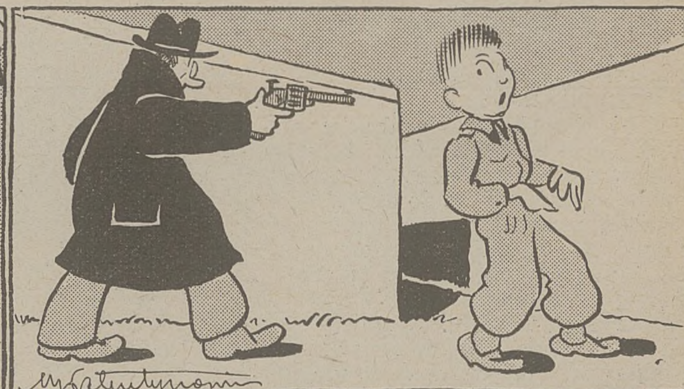
Pan jest szpiegiem—rzekł Pompka—
Nie udawaj pan Greka!
Wówczas dziwny jegomość
Zaczął szybko uciekać.



Przez tłum ludzi pędzili,
Przedzierali się gwałtem,
Jedną windę rozbili,
W końcu facet zwiał autem.



/Bo był dzielnym żołnierzem/
Waluś za nim, taksówką
Lecz za miastem szpieg zginął
W jakiejś ciemnej ruderze.



Szukał Pompka go długo,
Lazł przez płoty i mury,
Aż usłyszał za sobą:
Podnieś ręce do góry . . . !

SPIS RZECZY:

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.